

Krażenie krwi

Aldiss Brian



calibre 0.9.43

Brian W. Aldiss

Krażenie krwi ...

[Opowiadania zostały zaczerpnięte z tomu - „ The Moment of Eclipse]

[Przełożył **Robert M. Sadowski**]

[Scan by **DiEm**]

Spis treści

... Krażenie krwi ...

... I zamieranie serca ...

... Robak, który fruwa

... Dzień wyjazdu na Cytherę ...

Krażenie krwi...

I

Pod ciosami promieni słonecznych ocean wydawał się płonąć. Z chaosu płomieni i długich grzywaczy wynurzyła się stara łódź motorowa, z łoskotem silnika podążająca ku ciasnemu przesmykowi pomiędzy koralowymi rafami. Z brzegu śledziło ją kilka par oczu; z których jedną przed oślepiającą luną chroniły okulary słoneczne. Silnik "Krakena" zamilkł. Gdy łódź przeslizgiwała się pomiędzy koralowymi kleszczami, jej syrena odezwała się dwukrotnie. W chwilę później statek wytracił cały pęd i rzucił kotwicę na zatopionej rafie, wyraźnie widocznej pod powierzchnią wody; jego nagi, odarty z farb kadłub ocierał się o pomost.

Biegący od brzegu ponad płycizną pomost chwiał się i skrzypiał. Gdy

wreszcie złączył się ze statkiem w jedną całość, a z pokładu zeskoczył Murzyn w brudnej marynarskiej czapce, aby umocować cumy, od cienia wieńczących pierwsze wzniesienie plaży kokosowych palm oderwała się kobieca postać. Szła przed siebie powoli, niemal ostrożnie, kołysząc trzyroanymi na wysokości ramienia okularami słonecznymi. Jej sandały poskrzy-
pywały i stukały o deski, gdy szła pomostem.

Dziobową część statku okrywał dach ze spłowiałego zielonego brezentu, chroniąc ją przed morderczym słońcem. Brodaty mężczyzna, który wyrzwał poza burtę, wynurzył się naraz spod tej osłony. Nie miał na sobie nic poza parą starych, wysoko podwiniętych dżinsów oraz okul~rów w stalowej oprawie; jego ciało było spalone na brąz. Ten mniej więcej czterdziesto-
pięcioletni mężczyzna o pociągłej twarzy nazywał się Clement Yale i właśnie wracał do domu.

Uśmiechnął się do kobiety i zeskoczył na pomost. Przez chwilę stali nieruchomo przyglądając się sobie. Patrzył na bruzdę, która połowiła teraz jej czoło, na małe zmarszczki w kącikach oczu, na fałdę, która stopniowo okręzała jej pełne usta. Zauważył, że na ten wielki dzień jego powrotu użyła szminki i pudru. Ten widok wzruszył go; była wciąż jeszcze piękna, lecz w tym sformułowaniu "wciąż jeszcze" dźwięczało melancholijne echo innej myśli - jest już zmęczona, zmęczona, a przecież nie przebiegła nawet połowy swego dystansu.

- Caterina! - zawołał. ·

Gdy rzucili się sobie w ramiona, przemknęła mu myśl: a może, może da się zrobić, żeby żyła - no, bądźmy ostrożni - przynajmniej sześćset,

siedemset lat...

*

Rozluźnili uścisk po dobrej minucie. Pot z jego piersi pozostawił ślady na jej sukni.

- Muszę pomóc im wyładować najważniejsze rzeczy, kochanie - powiedział , a potem wrócę do ciebie. Gdzie jest Philip'? Wciąż jeszcze tutaj, prawda.

- Jest gdzieś tam -odpowiedziała, robiąc, nicokreślony ruch ręką w stronę tła palm, ich domu i wznoszącej się za nim porośniętej krzakami skarpy jedynego wzniesienia na Kalpeni. Ponownie założyła okulary, a Yale zawrócił w stronę łodzi.

Obserwowała jego oszczędne ruchy; przypominały jej właściwą mu surową dyscyplinę, jaką narzucał zarówno swemu ciału, jak i mowie: I teraz spokojnie objął komendę nad ośmioma członkami załogi, wymieniając żarty z kucharzem Louisem, tłustym Kreolem z Mauritiusa, a zarazem doglądając wyładunku swego mikroskopu elektronowego. Stopniowo na pomoście wyrósł stos skrzynek i paczek. Raz tylko Yale rozejrzał się wokoło szukając Philipa, ale chłopca nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Caterina zawróciła do brzegu, gdy marynarze zarzucili na ramiona pierwsze ładunki. Weszła na biegnące ponad plażą molo i nie oglądając się więcej poszła prosto do domu.

Większość bagażu ze statku została złożona w sąsiadującym z domem laboratorium lub w przyległym magazynie. Yale zamykał pochód niosąc klatkę zbitą ze skrzynek po pomarańczach. Spomiędzy deszczulek wyglądały

dwa młode pingwiny Adeli pokrakując do siebie.

Wszedł do domu tylnym wejściem. Był to prosty, jednopiętrowy budynek, wzniesiony z bloków koralu, i pokryty strzechą typową dla tych wysp, a raczej taką, jaka była typowa, zanim Hindusi z kontynentu zaczęli importować blachę falistą.

- Napij się piwa, kochany - powiedziała, głaszcząc go po ramieniu.

- Czy mogłabyś wyczarować także coś dla chłopaków? Gdzie Philip?

- Mówiłam ci, że nie wiem.

- Powinien słyszeć syrenę ze statku.

- Pójdę po piwo.

Wyszła do kuchni, gdzie służący Joe wylegiwał się przy drzwiach. Yale rozejrzał się po chłodnym, dobrze sobie znanym pokoju - patrzył na książki podparte muszlami, na dywan, który kupili w Bombaju jadąc tutaj, na, wiszącą na ścianie mapę świata i olejny portret Cateriny. Wiele miesięcy upłynęło, od kiedy ostatni raz był w domu - tak, bo był to naprawdę dom, choć w rzeczywistości tylko stacja badawcza rybołówstwa, do której zostali przydzieleni. Był to na pewno dom, bo tu była Caterina, teraz jednak mogli już myśleć o powrocie do Anglii - ich zmiana dobiegała końca, kończył się również program badawczy. Byłoby lepiej dla Philipa, gdyby zagnieździli się w kraju, przynajmniej na czas jego studiów na uniwersytecie. Yale podszedł do drzwi wejściowych i zmierzył wzdłuż całą wyspę wzrokiem. Kalpeni przypominała kształtem staromodny otwieracz do piwa, którego poprzeczkę morze przerwało w jednym miejscu, umożliwiając małym łodziom dostęp do laguny. Trzonek porastały palmy, a u jego

końca leżała mała tubylcza wioska - wszystkiego kilka brzydkich chałup -

niewidoczna stąd, gdyż przesłaniało ją wzniesienie.

- Tak, jestem w domu - powiedział do siebie; w jego radości brzmiała jednak nuta niepokoju, gdy zastanawiał się, jak da sobie radę z ponurym północnoeuropejskim klimatem.

Przez okno widział żonę rozmawiającą z załogą trawlera. Obserwując twarze mężczyzn czerpał przyjemność z ich radości, że znów mogą patrzeć na piękną kobietę i rozmawiać z nią. Przydreptał Joe z tacą pełną piwa, Yale wyszedł więc na dwór i przysiadł się do nich na ławkę, sącząc trunek z upodobaniem.

Przy pierwszej okazji zagadnął Caterinę:

- Chodźmy poszukać Philipa.

- Idź sam, kochanie. Zostanę tu i porozmawiam z ludźmi.

- Chodź ze mną.

- Philip wróci. Nie ma pośpiechu.

- Mam wam coś strasznie ważnego do powiedzenia.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

- O co chodzi?

- Powiem ci wieczorem.

- Coś o Philipie? .

- Oczywiście, że nie. Czyżby były z nim jakieś kłopoty?

- Chciałby zostać pisarzem.

Yale roześmiał się.

- Nie tak dawno chciał byś pilotem księżycowym, prawda? Czy bardzo urósł?

- Właściwie jest już dorosły. On serio traktuje swoje zamiary.

- A jak ty się miewałaś, kochanie? Nie nudziłaś się zbytnio? A, właśnie, gdzie się podziewa Fraulein Reise?

Caterina wycofała się pod osłonę swoich okularów słonecznych i zapatrzyła się w niski horyzont:

- To ona poczuła się znudzona i wróciła do domu. Opowiem ci później. -

Zaśmiała się niezręcznie. - Clem, oboje mamy sobie tyle do powiedzenia.

Jak było w Antarktyce?

- Och, cudownie. Szkoda, że nie było cię z nami, Cat. Świat tutaj

składa się z morza i koralu, a tam z morza i lodu. Tego nie sposób sobie wyobrazić. To j'est czysty świat. Przez cały czas żyłem tam w stanie uniesienia: Kraina taka jak Kalpeni - zawsze sama dla siebie, nigdy nie poddana człowiekowi.

Kiedy załoga ruszyła w drogę powrotną do statku, Yale założył tenisówki i pomaszerował w stronę zabudowań wioski w poszukiwaniu swego syna.

Wśród chat panował kompletny bezruch. Rząd łodzi rybackich spoczywał na piasku, tuż poza zasięgiem przyboju. Wsparta o szary jak słoniowa skóra pień palmy staruszka, zbyt leniwa, aby spędzić muchy z powiek, pilnowała suszących się strzępieli. Poruszał się tylko nieskończony Ocean Indyjski, bo nawet chmura nad odległą Karavatti robiła wrażenie zakotwiczonej.

Z największego baraku, który pełnił także funkcję sklepu, dobiegały słabe dźwięki muzyki. Na jej tle piosenkarka wyznawała, że szczęściem dla niej jest jej ukochany, a nie postęp. To samo, pomyślał sobie oschle, można

by powiedzieć o lenistwie. Tutejsi ludzie wiedli wygodne życie, przynajmniej

zgodnie ze swoimi wyobrażeniami. Nie chcieli robić praktycznie nic i ich życzenie spełniało się niemal całkowicie, Caterinie również podobał się ten styl życia. Dzień po driet mogła wpatrywać się w pusty horyzont. On jednak zawsze musiał mieć jakieś zajęcie. Cóż, ludzie się różnią między sobą - nie budziło to nigdy w nim sprzeciwu, a nawet czerpał z tego przyjemność.

Schylił głowę i wszedł do wnętrza baraku. Za ladą siedział tamilski właściciel sklepu, młody pogodny grubas, którego czarna skóra połyskiwała tłustawo, i dłubał w zębach. Na widok Yale'a V.K. Vandranasis - jego nazwisko widniało na desce nad drzwiami, mozolnie wymalowane po angielsku i w sanskrycie - podniósł się i podał mu rękę.

- Jak przypuszczam, jest pan rad z powrotu z bieguna południowego?

- Bardzo rad, Vandranasis.

- Zapewne na biegunie południowym jest zimno nawet w tak ciepła pogodę? .

- Tak, ale wie pan przecież, że byliśmy cały czas w ruchu - przepełniliśmy niemal dziesięć tysięcy mil morskich. Przecież nie siedzieliśmy sobie po prostu na biegunie, aby tam zamarznąć. A jak się panu powodzi? Zbija pan swoją fortunę'?

- Oj, oj, panie Yale, na Kalpeni nie sposób zrobić majątku, o tym pan wie doskonale. - Vandranasis rozpromienił się, zadowolony z dowcipu Yale'a - ale życie nie jest tu takie złe. Wie pan, niespodziewanie pojawiło się tu mnóstwo ryb; więcej niż ludzie są w stanie złowić. Na Kalpeni nigdy dotychczas nie było tyle ryb.

- Jakich ryb? Strzępieli'?

- Tak; tak, bardzo, bardzo dużo strzępieli. Innych ryb nie tak wiele, ale strzępieli są teraz miliony.

- A wieloryby wciąż przyplływają?

- Tak, wielkie wieloryby przybywają, kiedy jest pełnia.

- Zdaje się, że widziałem je koło starego fortu.

- Ma pan rację. Pięć sztuk. Ostatni w zeszłym miesiącu, a poprzedni miesiąc wcześniej w porze pełni. Ja myślę, że one przyplływają żywić się strzępielami.

- To niemożliwe. Wieloryby odwiedzały Lakkadiwy i wcześniej, zanim wystąpiła ta obfitość strzępieli. Poza tym wieloryby błękitne nie jedzą strzępieli. .

V:K. Vandranasis chytrze przechylił głowę i powiedział:

- Zdarza się wiele dziwnych rzeczy, o których wy, urzędnicy nauki i uczeni mężowie, nie wiecie nic. Czyżby pan nie wiedział, że nasz stary świat ciągle się zmienia? Być może właśnie w tym roku przyszła kolej na wieloryby błękitne, aby się nauczyły jeść strzępiele. W każdym razie taka jest moja teoria.

Aby interes szedł, Yale kupił butelkę maliniady i popijał ciepły, purpurowy płyn w trakcie rozmowy. Właściciel sklepu był szczęśliwy, że miał komu przekazać lokalne plotki, w których tyleż było smaku, co w lepkawej cieczy w butelce. W końcu Yale zmuszony był mu przerwać, pytając wprost, czy widział Philipa. Jak się okazało, Philip już dzień czy dwa nie pojawiał się w tym zakątku wyspy, Yale podziękował więc sklepikarzowi i poszedł

z powrotem plażą, mijając po drodze tę samą staruszkę, która ~ wciąż nie-
ruchomo pilnowała suszących się ryb.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, aby przemyśleć problem strzę-
pieli. Jego właśnie zakończone wielomiesięczne badania prądów oceanicznych,
finansowane przez brytyjskie Ministerstwo Rybołówstwa i Rolnictwa oraz
przez Wydział Badań Oceanicznych Smithsonian Institution pod egidą World
Waters Organization, były spowodowane właśnie obfitością ryb. W tym
wypadku chodziło o niezwykle obfite rozmnożenie się śledzi w i tak zagęsz-
czonych wodach Bałtyku, które dało znać o sobie dziesięć lat temu i trwało
do dnia dzisiejszego. Ta klęska urodzaju rozprzestrzeniała się powoli na
śledziowe łowiska Morza Północnego. W ciągu ostatnich dwu lat te niegdyś
przebogate rezerwuary ryb osiągnęły, a nawet przewyższyły dawną wydajność.
W czasie swojej ekspedycji antarktycznej przekonał się, że również wzrasta
liczba pingwinów, a przecież wzrost liczebności wielu innych gatunków mógł
wciąż jeszcze pozostawać nie -zauważony.

Wszystkie te na pozar przypadkowe zmiany wydawały się zachodzić bez
żadnej szkody dla innych zwierząt, ale przecież było oczywiste, że taki
stan rzeczy nie da się utrzymać, gdy mnożące się populacje osiągną nienormalną
liczebność.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wzrost ten przypadł na okres wygasania
ludzkiej eksplozji populacyjnej. W rzeczywistości zresztą owa eksplozja
nigdy nie była niczym. więcej jak straszakiem, teraz zaś odpływała w sferę
cieni podobnie jak niebezpieczeństwo nie kontrolowanej wojny jądrowej, któ-
re również zniknęło w owej dekadzie dogorywającego dwudziestego wieku.

Ludzie wprawdzie nie byli w stanie świadomie zmniejszyć wielkości przyrostu naturalnego w statystycznie uchwytne sposoby, samo jednak przeludnienie, nie ze wszystkimi towarzyszącymi temu niewygodami fizycznymi, antyrodzinnymi warunkami i mnożącymi się przypadkami psychicznie uwarunkowanych nerwic, zbrodni seksualnych i bezpłodności, wysrepującymi w najbardziej płodnych krajach, okazało się wystarczająco skuteczne, aby powstrzymać spiralę wzrostu liczby ludności na najgęściej zaludnionych obszarach: Jednym ze skutków tego zjawiska stał się spokój w stosunkach międzynarodowych, jakiego świat jeszcze nie zaznał w ciągu tego wieku.

Dziwnie było myśleć o takich sprawach na Kalpeni. Lakkadiwy płały w morzu i słońcu, a ich leniwi mieszkańcy żywili się suszoną rybą i orzechami kokosowymi, nie eksportując niczego poza suszoną rybą i koprą. Wyspy były zawsze odległe od wielkich spraw tego wieku - jakiegokolwiek wieku - jednak, upominał sam siebie Yale błędnie cytując Donne'a, żadna wyspa nie jest naprawdę wyspą. I te brzegi też już omywały fale nowych, tajemniczych zdarzeń, nad którymi człowiek nie miał najmniejszej władzy, podobnie jak nad lotem samotnego albatrosa przez powietrzni przestwór ponad oceanami Południa.

II

Caterina wyszła na spotkanie mężowi z ich koralowego domu.

- Clem; Philip jest w domu - powiedziała ujmując go za rękę.

- To czym się niepokoisz? - zapytał.

Z cienia wyłonił się jego syn, chyląc głowę w progu, i szedł ku ojcu

z wyciągniętą ręką. Przy powitaniu Yale zauważył, że uśmiechnięty i za-

rumieniony Philip rzeczywiście wyrósł już na dojrzałego mężczyznę.

Ten syn z pierwszego małżeństwa - Yale i Caterina pobrali się zaledwie trzy i pół roku temu - wyglądał zupełnie jak sam Yale w wieku siedemnastu lat, z krótko podciętymi włosami i długą ruchliwą twarzą, nazbyt łatwo odzwierciedlającą stan umysłu właściciela.

- Jak się cieszę, że cię widzę. Chodźmy na piwo - powiedział Yale. -

Cieszę się, że "Kraken" zdążył powrócić, zanim odjechałeś do Anglii.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać, ojcze. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybym wrócił do domu na "Krakenie" - to znaczy popłynął z nimi do Adenu, a stamtąd poleciał samolotem.

- No nie, przecież oni odpływają jutro, Phil. Miałbym cię widzieć tak krótko" Chyba nie musisz wyjeżdżać tak nagle.

Philip odwrócił wzrok i odezwał się dopiero wtedy, gdy zasiadł przy stole naprzeciw ojca:

- Nikt cię nie prosił, żebyś opuszczał dom na prawie cały rok.

Taka odpowiedź zaskoczyła Yale'a.

- Nie myśl, że nie brakowało mi ciebie i Cat - odrzekł'.

- Czy to jest odpowiedź na pytanie?

- Phii, nie zadałeś mi żadnego, pytania. Owszem, przykro mi, że wyjechałem na tak długo; ale była robota do wykonania. Miałem nadzieję, że zostaniesz nieco dłużej, że ze sobą razem trochę pobędziemy. Czemu wyjeżdżasz tak niespodziewanie?

Chłopak wziął szklankę z rąk Cateriny, która przyniosła piwo i usiadła między nimi, uniósł szklankę w jej stronę i pociągnął długi łyk, po czym

odpowiedział:

- Muszę wziąć się do pracy, ojczec. Za rok kwńczę szkołę.
- Będiesz mieszkał w Anglii z matką?
- Ona jest w Cannes czy gdzieś fam z którymś ze swoich bogatych kochasiów. Ja wolę zostać w Oxfordzie z przyjacielem i uczyć się.
- . Czy raczej z przyjaciółką, Phil'?

Próba zaczepki spaliła na panewce. Philip powtórzył ponuro:

- Ż przyjacielem.

Zaległa między nimi cisza. Caterina zauważyła, że obaj patrzą na jej gładkie, opalone ręce, leżące na stole. Zsunęła je na kolana i powiedziała:

- Wiecie co, chodźmy jak dawniej popływać we trójkę w lagunie.

Mężczyźni wstali bez enCuzjazmu, po prostu, żeby nie odmówić: Przebrali się w kostiumy kąpielowe. Radość i podniecenie wstąpiły w Yale'a, gdy znów ujrział swoją żonę w bikini. Jej ciało, jeszcze bardziej opalone, było jak zawsze pociągające, na udach nie przybył ani gram tłuszczu, piersi wciąż były sprężyste. Jakby odgadując jego myśli uśmiechnęła się do niego frywolnie i wzięła jego rękę w dłonie. Gdy szli ku przystani, niosąc płetwy i maski, Yale odezwał się:

- Phil, gdzieś się ukrywał, kiedy przyplynał "Kraken"?
- Byłem w forcie i wcale się nie ukrywałem.
- Tak tylko powiedziałem. Cat mówiła, że wzięłeś się' za pisanie.
- Czyżby?
- Ale co piszesz: powieść czy wiersze'?

- Myślę, że ty nazwałbyś to powieścią.

- A jak ty byś to nazwał?

- Boże święty, czy mógłbyś przestać mnie egzaminować? Wiesz przecież, że nie jestem już gówniarzem.

- Wygląda na to, że wróciłem w zły dzień.

- A żebyś wiedział. Rozwiodłeś się z matką, a potem uganiałeś się za Cateriną. Skoro się z nią ożeniłeś, to czemu o nią nie dbasz, jeśli tak jej pragniesz?

Rzucił swój ekwipunek na ziemię, wziął rozbieg wzdłuż drewnianego pomostu i plasnął płytko w błękitną wodę. Yale spojrzął na Caterinę, ale ona unikała jego wzroku.

- Mówi, jakby był zazdrosny. Mocno ci się to dawało we znaki?

- On jest teraz w trudnym wieku. Powinieneś dać mu spokój i nie drażnić go.

- Przecież prawie nic do niego nie mówiłem.

- Nie sprzeciwiaj się jego wyjazdowi, jeśli się przy nim upiera.

- Wyście się o coś pokłócili, prawda?

Patrzył na nią, jak zakłada płetwy siedząc na pomoście. Widok wglębia między piersiami sprawił, że znowu ogarnęła go fala miłości. Muszą wrócić do Loridynu i Cat musi mieć dziecko, po prostu dla jej dobra. Zbyt dużo poświęcają na rzecz słońca; stópień ucywilizowania można by zdefiniować jako gotowość poddania się zwiększonym dawkom sztucznego światła i ciepła, być może istnieje nawet bezpośredni związek pomiędzy wciąż rosnącym zapotrzebowaniem świata na energię a umacnianiem więzi spo-

tecznych. Jego chwilowe rozmyślania przerwała odpowiedź Cateriny:

- Wręcz przeciwnie, byliśmy w doskonałych stosunkach, kiedy cię tu nie było.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że został na miejscu; patrzył, jak płynęła w stronę swęgo pasierba, baraszkującego pośrodku laguny przy kadłubie "Krakena": Dopiero po chwili nałożył maskę i ruszył jej śladem.

Kąpiel wszystki.m zrobiła dobrze. Po tym, co opowiadał Vandranasis, Yale nie był zdziwiony obecnością strzępieli w lagunie, chociaż zazwyczaj wolały one pozostawać po zewnętrznej stronie atolu. Szczególnie wyróżniał się wśród nich jeden prawie dwumetrowy tłusciuch, którego chytrawo-pogardliwe próby nawiązania pozorów przyjaźni kazały Yale'owi żałować, że nie wziął ze sobą kuszy.

Kiedy miał już dość, popłynął do północno-zachodniego brzegu w sąsiedztwo starego portugalskiego foctu i ułożył się na kołącym koralowym piasku.

Wkrótce dołączyła do niego reszta.

- To jest dopiero życie - powiedział, obejmując ramieniem Caterinę. -

Niektórzy z naszych tak zwanych ekspertów tłumaczą całe życie siłą naszych popędów, dla innych wszystko wydaje się wytłumaczalne poprzez zamiary boskie, jeszcze inni uważają, że to sprawa gruczołów, a są tacy, dla których sprowadza się to do wysublimowanego kompleksu Edypa. Jeżeli chodzi o mnie, życie widzę jako pogoń za słońcem. .O co chodzi? -

Dojrzał napięcie na twarzy żony. - Nie zgadzasz się ze mną?

- Ja, nie, Clem, ja, ja mam chyba inne cele.

- Jakie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zwrócił się do Philipa:

- A ty jakie masz cele w życiu, młody człowieku?

- Dlaczego zawsze zadajesz takie idiatyczne pytania? Po prostu żyję

i nie filozofuję przez cały czas.

- Czemu Fraulein Reise. wyjechała? Czy nie dlatego, że byłeś dla niej tak nieuprzejmy, jak dla mnie?'

- Och, idź do...

Philip zerwał się, byle jak naciągnął maskę i rzucił się z powrotem do wody, gwałtownymi ruchami ramion kierując się ku przeciwległemu brzegowi.

Yale wstał, strząsnął płetwy i pomaszerował plażą, nie zwracając uwagi na boleśnie kłujące ziarna koralowego piasku. W najwyższym punkcie wybrzeża rosła wątła trawa, a za nią zbocze znowu skłaniało się w dół ku rafom bariery oceanicznej. Leżały tam rozkładające się wieloryby, w pół zanurzone w wodzie cielska, które stały się już czymś zbyt strasznym, by zasługiwać na miano ciała. Na szczęście południowo-zachodni pasat chronił pozostałą część wyspy przed smrodem. Yale przypomniał sobie, że ów odór rozkładu dotarł do „Krakena” jeszcze daleko od brzegu, jak gdyby Kalpeni była miejscem popełnienia jakiejś straszliwej, niepomiernej zbrodni. Myślał o tym starając się opanować gniew na syna.

*

Wieczorem podejmowali kolację załogę trawlera. Była to wspaniała pożegnalna uczta, skończyła się jednak wcześnie, później więc Yale, Philip i Caterina wyszli ze szklankami na werandę i zasiedli razem, patrząc na światła "Krakena", migoczące w głębi laguny. Philipowi najwidoczniej minął

poprzedni zły nastrój, kipiał bowiem radością, papłąc bez przerwy o życiu na uniwersytecie, aż wreszcie Caterina mu przerwała.

- Nasłuchałam się dość o Oxfordzie przez ostatnie tygodnie. Może by tak Clem opowiedział nam coś o Antarktyce?

- Dla mnie ta ponure zesłanie.

- Ma swoje złe i dobre strony - rzekł Clem - co można powiedzieć, jak sądzę, również i o Oxfordzie. Weźmy na przykład te pingwiny, które przywiozłem - warunki, jakie tam panują podczas ich okresu godowego, są nie do zniesienia dla człowieka. Około minus trzydziestu stopni Fahrenheita przy hulającej śnieżycy o prędkości jakichś osiemdziesięciu mil na godzinę. Przy takiej pogodzie człowiek dosłownie zamarza na kość, ale pingwiny uważają, że to najlepszy czas na zaloty.

- Głupole.

- Mają swoje powody. W pewnych porach roku Antarktyda wręcz opływa w żywność, jest najbogatszym miejscem na świecie. Och, Philip, powinniś kiedyś tam pojechać. Te potoki światła słonecznego w lecie - to, to doprawdy inna planeta i do tego znacznie mniej znana od Księżyca. Czy zdajecie sobie sprawę, że więcej ludzi wylądowało na Księżycu, niż odważyło się zmierzyć z Antarktydą?

Przyczyny wyprawy "Krakena" na owe odległe południowe morza były czysto naukowe. Niedawno powstała Światowa Organizacja Zasobów Wodnych, której centrala mieściła się w lśniącym nowiutkim wieżowcu nad Zatoką Neapolitańską, zainaugurowała pięcioletni program badania oceanów. a pordzewiały "Kraken" stanowił nikczemną część anglo-amerykańskiego

wkładu w ten program. Statek, wyposażony w czujniki Davisa i inną nowoczesną aparaturę oceanograficzną, wiele miesięcy ciężkiej pracy poświęcił badaniom prądów oceanicznych w Atlantyku, a w tymże czasie Clement Yale dokonał detektywistycznego odkrycia.

- Mówiłem ci dzisiaj rano, że mam coś ważnego do powiedzenia. Chciałbym już teraz zrzucić ten kamień z serca. Czy wiesz. Cat, co to są oczliki?

- Mówiłeś mi kiedyś. To jakieś ryby, prawda.

- To są skorupiaki żyjące w planktonie, które stanowią niezwykle ważne ogniwo w łańcuchu pokarmowym w oceanie. Jak wyliczono, tych osobników żyje prawdopodobnie więcej niż jakichkolwiek innych wielokomórkawych organizmów - ludzi, ryb, mięczaków, małp, psów i tak dalej - razem wziętych. Pojedynczy oczlik ma rozmiary ziarnka ryżu, a niektóre z jego odmian zjadają dziennie połowę tego, co ważą, głównie w postaci otwornic.

Najlepsza na świecie świnia nie dokonałaby takiej sztuki. Tempo, w jakim ta kruszyna życia wchłania i przerabia pożywienie, można śmiało uznać za symbol żyzności naszej starej Ziemi. Jest to również doskonały przykład powiązań, jakie istnieją pomiędzy wszystkimi żywymi istotami. Oczliki żywią się najmniejszymi żyjątkami oceanicznymi, natomiast same są pożywieniem dla stworzeń największych, jak rekin wielorybi i olbrzymi oraz rozmaite wieloryby. Również ptaki morskie lubią urozmaicać sobie tymi raczkami jadłospis.

Różne gatunki oczlików zamieszkują odrębne poziomy i korytarze w tym wielowymiarowym podmorskim świecie. Jeden z nich śledziliśmy przez wiete tysięcy mil, kiedy podążaliśmy śladem pewnego prądu oceanicznego.

- Czułem, że dosiada swojego ulubionego konika - zawoiał Philip.

- Dolej ojcu i nie bądź taki bezczelny. System prądów morskich jest równie ważny dla ludzkiego życia jak układ krążenia krwi. Zarówno jeden, jak i drugi to strumień życia, który unosi nas ze sobą, czy tego chcemy, czy nie. My na "Krakenie" badaliśmy tylko jedną cząstkę tego strumienia, a mianowicie prąd, o którego istnieniu oceanografowie wiedzieli teoretycznie już od pewnego czasu, my zaś wykreśliliśmy dokładnie jego przebieg i nadałiśmy' mu nazwę. Jaka to nazwa, powiem wam nieco później - powinno cię to rozbawić, Cat.

Nasz prąd formuje się powoli w Morzu Tyrreńskim; jak nazywa się część Morza Śródziemnego pomiędzy Sycylią i Włochami. Pływaliśmy w nim nieraz, Cat, kiedy byliśmy w Sorrento, ale wtedy dla nas było to po prostu Morze Śródziemne. W każdym razie parowanie jest tam bardzo silne, dzięki czemu na powierzchni zbiera się bardzo słona woda, która opada w głąb i stopniowa wylewa się do Atlantyku, bo przecież Morze Śródziemne jest tylko jego odgałęzieniem.

Prąd następnie zagłębia się jeszcze bardziej i odgina ku południowi.

Mogliśmy śledzić jego trasę bardzo łatwo, dokonując pomiarów zasolenia wody, prędkości przepływu i tak dalej. Jak stwierdziliśmy, rozgałęzia się on, ale ta odnoga, która nas szczególnie interesowała, zachowuje niezwykłą jednorodność, tworząc wąską wstęgę wody poruszającej się z prędkością około trzech mil na dobę. Na Atlantyku jest on wciśnięty pomiędzy dwa inne prądy płynące w przeciwnym kierunku, znane od dość dawna jako Antarktyczny Prąd Denny i Pośredni. Oba te płynące ku północy prądy

niosą wielkie ilści wody - można by je nazwać głównymi arteriami. Wody

Prądu Dennego są bardzo słone i lodowato zimne.

Płynęliśmy w ślad za naszym prądem przez równik i dalej na południe, na zimne wody Oceanu Południowego. Tam wreszcie prąd wznosi się ku powierzchni i zarazem rozplywa wachlarzowato wzdłuż wybrzeża antarktycznego, od Morza Weddella do Morza Mackenzie. W jego cieplejszych wodach w czasie krótkiego polarnego lata wręcz roi się od oczlików i wszelkiego innego drobiazgu. Inny rodzaj skorupiaków, zwany krylem, występuje tak licznie, że morze przybiera cynamonowe zabarwienie; "Kraken" często płynął po różowej fali. Raczki pożerają otwornice, a one same pożerane, są przez wieloryby.

- Przyroda jest taka potworna - powiedziała Caterina.

- Być może - Yale uśmiechnął się do niej - ale przecież poza przyrodą nie ma nic. W każdym razie byliśmy dumni z naszego prądu, że zawędrował tak daleko. Wiesz, jak go nazwaliśmy? Uczciliśmy w ten sposób dyrektora Światowej Organizacji Zasobów Wodnych, gdyż ten prąd będzie od teraz nosił nazwę Prądu Devlina od nazwiska Theodora Devlina, wielkiego ekologa morskiego i twojego pierwszego męża.

Caterinie złość dodawała jeszcze urody. Sięgając po papierosa do stojącego na stole pudełka z drzewa sandałowego powiedziała:

- Przypuszczam, że według ciebie miał to być dowcip.

- To chyba raczej ironia. Ale przecież bardzo stosowna, doskonale sama wiesz. Diabłu też się należy jego ogarek. Zresztą Devlin jest wielkim ezowikiem, o wiele większym, niż ja kiedykolwiek będę.

- Clem, przecież wiesz, jak on mnie traktował.

- Oczywiście, właśnie dlatego miałem szczęście cię zdobyć. Nie chow~m do niego urazy choćby dlatego, że kiedyś był moim przyjacielem.

- Nie, nie był. Theo nie ma przyjaciół, ceni sobie tylko własne korzyści,

Po pięciu latach z nim przeżytych znam go chyba lepiej niż ty.

- Możesz być uprzedzona.

Uśmiechną: się, ubawiony jej rozdrażnieniem. Rzuciła w niego papierosem i zerwała się na równe nogi.

- Zwariowałeś, Clem. Doprowadzasz mnie do szału. Dlaczego nigdy nie masz potrzeby odegrania się na kimś? Zawsze jesteś tak cholernie zrównoważony. Czemu nigdy nikogo nie znienawidzisz? A szczególnie Theę. Czemu nie znienawidzisz Thea dla mnie?

Yale wstał również.

- Uwielbiam cię, kiedy usiłujesz być dziwką.

Strzeliła go w twarz, aż okulary pofrunęły w powietrze, i wypadła z pokoju.

Philip nie poruszył się: Yale podszedł do najbliższego trzcinowego fotela

i podniósł swoje okulary z siedzenia; były nie uszkodzone. Kiedy je

ponownie zakładał, odezwał się:

- Mam nadzieję, Phil, że takie sceny nie wprawiają cię w zbytnie zakło-

potanie. Wszystkim nam potrzebne są zawory bezpieczeństwa dla naszych

emocji, a kobietom w szczególności. Caterina jest wspaniała, prawda? Co

o tym myślisz? Czy naprawdę byliście w dobrych stosunkach?

Powoli Philipa oblał rumieniec.

- Łam sobie głowę sam. Pójdę się spakować.

Gdy się odwracał, Yale chwycił go za ramię.

- Nie musisz odchodzić. Jesteś prawie dorosły i powinieneś umieć stawić czoło gwałtownym wybuchom emocji. Nie potrafiłeś tego jako dziecko; ale to są zwykłe sprawy, jak burza na morzu.

- Dziecko! Sam jesteś dzieckiem, ojcze! Myślisz, że jesteś taki spokojny i wyrozumiały, co? Ale ty przecież nigdy nie rozumiałeś, co ludzie koją czują.

Wyszedł i Yale pozostał sam w pokoju.

- Wy tłumacz mi, a postaram się zrozumieć - powiedział na głos.

III

Kiedy wszedł do sypialni, Caterina siedziała zgnębiona na łóżku, z bosymi stopami na kamiennej posadzce. Patrzyła na niego uważnie tajemniczym wzrokiem kota.

- La dużo wypiałam, kochany. Wiesz, że mi piwo nie służy. Przepraszam.

Podszedł i podciągnął jej pod nogi dywan, po czym ukląkł obok.

- Ty ohydna alkoholiczko, chodź ze mną nakarmić pingwiny, zanim się położymy. Philip chyba już poszedł do łóżka.

- Powiedz, że mi przebaczasz.

- O, Chryste, nie zaczynajmy tego od nowa, moja najstarsza Cat. Wiesz przecież, że ci przebaczyłem.

- No to powiedz to, powiedz.

Philip ma całkowitą rację - pomyślał. - Nie rozumiem nikogo, nie rozumiem nawet samego siebie. To prawda, że przebaczyłem Cat, dlaczego

więc upieram się, żeby jej tego nie powiedzieć, skoro ona tak się tego domaga? Może dlatego, że uważam to za zbyt błahy powód do wybaczenia. No cóż, czym jest męska duma wobec kobiecych pragnień? - i powiedział to. Na zewnątrz fale pluskały sennie o rafę na znak niezmiennego zaddwoleńia. Wyspa wydawała się w nocy tak niska, że tylko cudem ocean nie przelewał się przez nią. Nigdzie nie było widać żadnego światła, z wyjątkiem lampy na maszcie "Krakena".

Pingwiny znajdowały się w jednej ze stałych klatek w głębi laboratorium. Stały tam z dziobami wetkniętymi pod swe skrzydło-płetwy i nie zmieniły pozycji nawet po zapaleniu światła.

Caterina objęła go w pasie.

- Przykro mi, że się zapomniałam. Chyba powinniśmy ci pogratulować?

To znaczy, ten prąd to duże odkrycie, prawda?

- W każdym razie długie -jakieś dziewięć i pół tysiąca mil.

- Och, nie żartuj, kochanie. Pewnie jak zwykle bagatelizujesz to, czego dokonałeś.

- O tak, okropnie. Być może kiedyś; otrzymam szlachectwo. W każdym razie za tydzień polecimy do Londynu po jakieś tam wyrazy uznania, a ja będę musiał złożyć bardziej szczegółowe sprawozdanie. Naprawdę jednak zrobiłem jeszcze jedno odkrycie, o którym wie dotychczas oprócz mnie tylko jedna osoba. Odkrycie Prądu Devlina jest przy tym niczym, a skutki tego odkrycia mogą dotyczyć każdego z nas.

- O czym ty mówisz?

- Jest już późno i oboje jesteśmy zmęczeni. Powiem ci rano.

- A nie mógłbyś teraz, kiedy będziesz karmił ptaki?

- Nie będę. Chciałem tylko do nich zajrzeć, a nakarmić je będzie lepiej z rana. - Popatrzył na nią z zastanowieniem.

- Jestem zachłannym człowiekiem, Cat, chociaż staram się to ukrywać.

Pragnę życia, chcę dzielić to życie z tobą przez tysiąc lat, przez tysiąc lat chcę istnieć na Ziemi ze szlachectwem czy bez niego - i to jest możliwe.

Stali patrząc na siebie i wyczuwając przepływające pomiędzy nimi prądy neuronowe. Napięcie opadło już dostatecznie, aby mogli odczuć, że nie są już dłuższymi całkowicie odrębnymi istotami.

- W ziemskim krwiobiegu pojawiła się nowa infekcja - powiedział. -

Niesie ona ze sobą pewną chorobę, którą można by nazwać długowiecznością. Jej nośnik wyizolowano po raz pierwszy około dziesięciu lat temu w ławicach śledzi bałtyckich. Rozumiesz teraz, Cat, w jaki sposób śledziliśmy Prąd Devlina'? Mieliśmy głębinowe trały, sonary oraz specjalne pływaki, które unosiły się swobodnie tylko w wodzie o określonej gęstości, dzięki czemu przez cały czas mogliśmy wyznaczać stopień zasolenia, temperaturę i prędkość wód naszego prądu. Mogliśmy również badać skład planktonu, dzięki czemu stwierdziliśmy, że oczliki są nosicielami szczególnego wirusa, który zidentyfikowałem jako odmianę owego wirusa z Bałtyku. Nie wiemy dotychczas, skąd on pochodzi. Rosjanie sądzą, że mógł on być zawarty w tektycie albo w pyłe meteorytowy, tak więc byłby on pochodzenia pozaziemskiego...

- Błagam cię, Clem, nic z tego nie rozumiem. Co właściwie ten wirus

robi? Mówisz, że przedłuża życie, tak?

- W niektórych wypadkach, niektórym gatunkom.

- Kobietom i mężczyznom również?

- Nie, jeszcze nie. W każdym razie nic o tym nie wiem - wskazał ręką aparaturę rozłożoną na stołach pracowni. - Pokażę Ci, jak on wygląda, jak tylko zmontuję mikroskop elektronowy. Ten wirus jest bardzo mały, ma zaledwie dwadzieścia milimikronów długości. Gdy tylko znajdzie odpowiedniego gospodarza, przenika szybko w głąb jego komórek, gdzie jego działanie objawia się niszczeniem wszystkiego, co zagraża życiu komórki.

W gruncie rzeczy jest to konserwator komórek, i do tego bardzo wydajny.

Chyba sama rozumiesz, co to znaczy. Każda istota nim zakazona może żyć praktycznie wiecznie, albowiem w wyjątkowo sprzyjających warunkach bałtycki wirus jest w stanie nawet całkowicie odbudować zniszczoną komórkę. O ile wiemy, dotychczas znalazł on sobie tylko dwóch takich gospodarzy, w obu przypadkach mieszkańców morza - rybę i ssaka, czyli śledzia i wieloryba błękitnego. W oczlikach występuje on w formie latentnej.

Zauważył, że Cateriną wstrząsnął dreszcz.

- Chcesz powiedzieć, że te śledzie i wieloryby są... nieśmiertelne? -

zapytała.

- Potencjalnie, jeśli zostały zarażone. Oczywiście śledzie dalej są zjadane,

ale te, które unikną tego losu, rozmnażają się rok po roku zachowując te

właściwości. Żadne ze zwierząt, które zjadają śledzie, dotąd się nie za-

kaziło, innymi słowy wirus nie był w stanie w nich przetrwać. Zakrawa

na ironię, że ten mały zarazek, który kryje w sobie tajemnicę wiecz-

nego życia, sam wciąż jest zagrożony wymarciem.

- Ale ludzie....

- Ludzie jeszcze nic do tego nie mają. Oczliki, które wysledziliśmy w naszym

prądzie, były zakażone bałtyckim wirusem. Wypląnęły na powierzchnię

dopiero u brzegów Antarktydy i tam dokonałem nowego odkrycia: otóż

jeszcze jeden gatunek podlega zakażeniu, a tym gatunkiem są pingwiny

Adeli. Nie umierają już one więcej z przyczyn naturalnych. Ta para tutaj jest w istocie nieśmiertelna.

Caterina wpatrywała się w pingwiny poprzez oka siatki. Ptaki przycupnęły na skraju swej wanienki, komicznymi łapami obejmując jej kamionkowy brzeg. Nie wyjęły dziobów spod skrzydeł, lecz przebudziły się i obserwowały kobietę bystrymi, nie mrugającymi oczami.

- To śmieszne, Clem, całe pokolenia ludzi marzyły o nieśmiertelności, ale nikt nie przypuszczał, że to przytrafi się pingwinom... Chyba to właśnie nazywasz ironią. Czy jest jakiś sposób, abyśmy się zarazili od tych ptaków?

Roześmiał się.

- To nie takie łatwe, jak zarazić się psitacjozą od papugi, być może jednak znajdziemy doświadczalnie metodę zakażenia ludzi tą chorobą.

Zanim to jednak nastąpi; powinniśmy sobie zadać inne pytanie.

- To znaczy jakie?

- Czy nie jest to przede wszystkim kwestia moralna? Czy jesteśmy w stanie, zarówno jako gatunek; jak i jednostki, żyć owocnie przez tysiąc lat? Czy zashagujemy na to?

- A czy sądzisz, że śledzie zasłużyły sobie na to bardziej od nas?

- Sprawiają mniej szkód niż ludzie.

- Powiedz to swoim oczlikom.

Zaśmiał się serdecznie, jak zawsze szczęśliwy w tych rzadkich momentach, gdy jej kąśliwa odpowiedź przypadała mu do gustu.

- Interesujące, w jaki sposób oczliki przenoszą w sobie latentną postać

wirusa z Morza Śródziemnego aż do Antarktyki nie zakażając się same.

Oczywiście musi być jeszcze jakieś ogniwo pośrednie pomiędzy Bałtykiem a Morzem Śródziemnym, ale dotychczas go nie wykryliśmy.

- Może jakiś inny prąd?

- Nie sądzę. Po prostu nie wiemy, tymczasem zaś ekologia na Ziemi może wywrócić się do góry nogami. Dotychczasowe skutki to raczej przyjemny nadmiar pożywienia i szansa przetrwania dla wielorybów, które były już na progu wyginięcia, ale z czasem może to doprowadzić do głodu i innych nieprzyjemnych zakłóceń w przyrodzie. '

Ten aspekt sprawy mniej interesował Caterinę.

- Tymczasem ty będziesz badał możliwość zaszczepienia wirusa ludziom?

- To może być niebezpieczne, a poza tym to nie moja specjalność.

- Ale przecież nie wypuścisz tej sprawy z rąk?

- Nie. Dotychczas trzymałem wszystko w tajemnicy, nawet przed załogą "Krakena", z wyjątkiem jednej osoby. Znienawidzisz mnie za to, Cat, ale to sprawa zbyt poważna, aby mieszać w nią życie osobiste. Otóż przesłałem zakodowany raport do Thea Devlina, do WWO w Neapolu. Wpadnę do niego po drodze, gdy będziemy jechać do Londynu., .

Jej twarz wydała się naraz zmęczona, postarzała.

- Jesteś albo świętym, albo kompletnym wariatem - powiedziała:

Pingwiny bez ruchu obserwowały dwoje ludzi wychodzących z laboratorium. Dużo czasu upłynęło po zgaszeniu światła, zanim zamknęły oczy i ponownie zapadły w sen.

Świt następnego dnia rozpałił niebo z istic wagnerowskim przepycbem,

ujawniając pierwszy ospały ruch na pokładzie "Krakena" i mieszając się z dolatującym z kambuza zapachem smażonych wapniaków. Już za cztery, pięć dni załoga miała wrócić do swej bazy w Adenie i rozkoszować się różnorodnością świeżego jedzenia.

Philip również zerwał się wcześniej. Spał nago pod prześcieradłem, ale nie trudził się ubieraniem w nic więcej poza kąpielówkami. Obszedł dom od tyłu i zajrzał przez okno do ojcowskiej sypialni. Yale i, Cat spali spokojnie razem w jej łóżku. Odwrócił się z wykrzywioną twarzą i pobiegł chwiejnie w stronę laguny, do pożegnalnej kąpieli. W chwilę później Joe, ich negrycki służący, zaczął krzątać się po domu, szykując śniadanie i podśpiewując piosenkę o chłódzie poranka. W miarę narastania dziennego upału przygotowania do ódjazdu przybierały na sile. Yale z żoną przyjęli zaproszenie na pożegnalny lunch, który odbył się na pokładzie trawlera pod brezentowym dachem. Choć Yale starał się zagadnąć Philipa, to chłopak zasłaniał się swym ponurym nastrojem i nie dawał się wciągnąć; Yale'owi pozostało pocieszać się myślą, że przecież i tak wkrótce spotkają się w Anglii. Gdy minęło południe, statek odpłynął, a jego syrena odezwała się w chwili, kiedy przepływał wąskim przesmykiem między rafami, jak w pierwszą stronę. Yale i Cak przez chwilę machali mu na pożegnanie z cienia palm, a potem wrócili do domu.

- Biedny Philip. Mam nadzieję, że wakacje zrobiły mu dobrze: Trudno dać sobie radę z okresem dojrzwania. 'Pamiętam, że sam też miałem takie kłopoty. .

- Czyżby, Clem? Chyba nie.

Rózejrzała się dookoła z rozpaczą, patrząc na łagodną twarz męża, na zmarszczone morze, na którym wciąż jeszcze widoczna była sylwetka trawlera, na zwieszające się nad nimi ciężkie liście palm, lecz w niczym nie zdołała dostrzec pomocy.

- Clem - wybuchnęła wreszcie. - Nie mogę już dłużej trzymać tęgo w tajemnicy, muszę ci powiedzieć teraz. Nie wiem, jak na to zareagujesz, ale od kilku tygodni Philip i ja jesteśmy kochankami.

Patrzył na nią ze zdumieniem, mrużąc oczy, jak gdyby nie rozumiał tego, co powiedziała.

- To właśnie dlatego odjechał w taki sposób. Nie mógłby wytrzymać tu razem z tobą. Błagał, żebym nigdy ci o tym nie powiedziała... On...

Clem, to wszystko moja wina, to ja powinnam być mądrzejsza. - Przerwała na chwilę i dorzuciła: - Mogłabym być jego matką.

Yale stał zupełnie bez ruchu, a potem odetchnął głośno i głęboko.

- Jak, jak mogłaś, Caterino. Przecież to jeszcze chłopiec.

- Jest równie dorosły jak ty.

- Jest chłopcem. Uwiodłaś go.

- Clem, postaraj się zrozumieć. Na początku była Fraulein. Ona to

z nim zrobiła - a może on zaczął, sama nie wiem, jak to było. To

mała wyspa, natknęłam się więc na nich pewnego dnia, nagich, w starym

forcie. Odesłałam ją, ale zaraza pozostała. Ja... Po tym, jak go zoba-

czyłam...

- Boże, to kazirodztwo.

- Przestań używać tych głupich staroświeckich określeń.

- Ty świnió! Jak mogłaś to z nim robić?

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Nie zatrzymywała go, bo i sama nie mogła ustać na miejscu. Miotana rozpaczą, pobiegła ze szlochem do domu i padła na rozrzuconą pościel.

Przez trzy godziny Yale stał na północno-zachodnim krańcu wyspy i jak sparaliżowany wpatrywał się w morze. Poruszył się tylko raz, aby zdjąć okulary i wytrzeć oczy. Serce waliło mu mocno, kiedy spoglądał na rozciągającą się przed nim bezkres jakby rzucając mu wyzwanie.

Caterina cicho podeszła do niego, podając mu szklanekę wody z kryształkami soku cytrynowego. Wziął szklanekę, podziękował i wypił, cały czas nie patrząc na nią.

- Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, Clement, to wiedz, że bardzo cię kocham i podziwiam. Wiem, że nie nadaję się na żonę dla ciebie, uważam, że jesteś święty. Chociaż zadałam ci tyle bólu, ty się przejąłeś najbardziej tym, jak skrzywdziłam Philipa, prawda?

- Nie bądź głupia. To ja nie powinienem pozostawiać ciebie samej na tak długo. Wystawiłem cię na pokuszenie. - Spojrzał na nią surowo. -

Przepraszam za to, co powiedziałem... o kazirodztwie. Nie jesteś przecież spokrewniona z Philipem, a tytko spowinowacona przez małżeństwo. A poza tym człowiek to jedyne stworzenie, które uważa kazirodztwo za coś wbrew naturze. Większość zwierząt, łącznie nawet z małpami człekokształtnymi, nie widzi w tym nic złego. Można zdefiniować człowieka jako gatunek, który obawia się kazirodztwa. Jak wiesz, niektórzy psychoanalitycy uważają, że wszystkie choroby psychiczne to obsesje wywołane tym strachem, toteż ja...

- Przestań~

To był niemal krzyk. Przez chwilę wależyła ze sobą, a potem powiedziała:

- Słuchaj, Clem, mów o nas, na miłość boską, nie o tym, co mówią

psychoanalicyści czy robią mały ezlekokształtne: Mów o nas, myśl o nas.

- Przepraszam, wiesz, że jestem pedantem, ale chciałem..

- I przestań, przestań mnie przeproszać. To ja powinnam przeproszać

ciebie, na klęczkach błagać o wybaczenie. Och, czuję się taka straszna,

beznadziejna, taka winna. Nawet sobie nie wyobrażasz, co przesłama.

Chwycił ją i ścisnął boleśnie, przez chwilę bardzo podobny do swego syna.

- Dostajesz histerii. Wcale nie chcę, żebyś klęczała przede mną, Cat,

choć dzięki Bogu to jedna z twoich cudowniejszych cech, że potrafisz

tak wyznać swoje błędy, jak mnie się nigdy nie udało. Sama widzisz, że

postąpiłaś źle. Przemyślałem to wszystko i widzę, że błąd był głównie po

mojej stronie. Nie powinienem był zostawiać cię samej tu na Kalpeni na

tak długo. Teraz, kiedy szok mi już minął, wszystko będzie między nami

jak dawniej. Pomyślałem również, że będę musiał napisać do Philipa, po-

wiem mu, że wyznałaś mi wszystko i że nie musi się czuć winnym.

- Clem, jak ty możesz - nie masz żadnych uczuć? Jak mogłeś mi

tak łatwo wybaczyć?

- Nie powiedziałem, że ci wybaczyłem.

- Właśnie to powiedziałeś.

- Nie, powiedziałem... zresztą nie czepiajmy się słów. Muszę ci wybaczyć.

Wybaczyłem ci.

Przyłgnęła do niego.

- To powiedz, że mi wybaczasz.

- Przecież powiedziałem.

- Powiedz, proszę, powiedz mi.

W nagłym ataku wściekłości odepchnął ją od siebie, wrzeszcząc:

- Niech cię cholera, powiedziałem, że ci przebaczyłem, stuknięta dziwko.

Czego jeszcze chcesz?

Upadła jak długa na piasek. Natychmiast poczuł skruchę i schylił się,

by ją podnieść, przepraszając za swą brutalność i powtarzając w kółko, że przecież jej przebaczył. Gdy wstała, zawrócili razem do koralowego domu,

pozostawiając pustą szklankę na piasku. Po drodze Caterina powiedziała:

- Czy możesz sobie wyobrazić mękę życia przez tysiąc lat?

Następnego dnia po tym pytaniu na wyspę przybył Theodore Devlin.

IV

Niemal cała ludność Kalpeni wyległa, aby obejrzeć lądowanie helikoptera na okrągłym lotnisku pośrodku wyspy. Nawet Vandranasis zamknął swój sklepik i dołączył do cienkiej strugi gapiów, podążających ku północy.

Maszyna schodziła w dół przy akompaniamencie klaskania wielkich palmowych liści; na jej czarnym kadhabie połyskiwały insygnia WWO. Gdy tylko wirnik zatrzymał się, Devlin zeskoczył na ziemię, a za nim jego pilot.

Starszy o dwa, trzy lata od Yale'a, Devlin był krępy, dobrze zakonserwowany mężczyzną o elegancji stopniem dorównującej zaniedbaniu Yale'a.

Ten człowiek o rysach ostrych jak jego umysł był powszechnie szanowany, lecz w niewielu potrafił wzbudzić sympatię. Yale, ubrany tylko w dzinsy

i tenisówki, wyszedł mu naprzeciw i uściśnął rękę:

- Kto by się ciebie tu spodziewał, Theo. Kalpeni jest zaszezycona.

- Kalpeni jest piekielnie gorąca. Na litość boską, Clernent, zaprowadź mnie w cień, zanim się usmażę. Nie pojmuję, jak ty to wytrzymujesz.

- Chyba stałem się krajowcem, zadomowiłem się tutaj. Widziałeś moją parę pingwinów pływającą w lagunie?

- Mhm.

Devlin nie był w nastroju na pogawędki. Maszerował żwawo w swym nieskazitelnie jasnym garniturze. Niższy o głowę od Yale'a, w każdym sprężystym ruchu wykazywał siłę i opanowanie nawet na zdradliwym piasku. Yale stanął u wejścia do domu, zapraszając gościa i chudego hinduskiego pilota do wnętrza. W pokoju oczekiwała ich Cdterina bez śladu uśmiechu na twarzy. Jeśli nawet Devlin był zakłopotany tym spotkaniem z byłą żoną, nie dał tego poznać po sobie. .

- Myślałem, że w Neapolu jest dostatecznie gorąco, ale wy tutaj żyjecie w diabelskim piecu. Jak się masz, Caterino? Dobrze wyglądasz: Nie widziałem cię od czasu, kiedyś płakała na ławie świadków. Jak Clement cię traktuje'? Mam nadzieję, że nie w ten sposób, dojakiego przywykłaś wcześniej?

- Z pewnością nie przyjechałeś. tu, aby prawić nam uprzejmości, Theo.

Może ty i twój pilot napilibyście się czegoś? Zdaje się, że miałaś ochotę nam go przedstawić?

Osadzony na miejscu Devlin zasznurował usta i zaczął zachowywać się mniej wojowniczo. Jego następną wypowiedź można było nawet uznać za swego rodzaju usprawiedliwienie.

- Rozzłościł cię ci krajowcy obmacywaniem paluchami tego helikoptera.

Niedaleko jeszcze odbiegli od mały. Toż to pasożyty w każdym sensie tego słowa. Cały swój nędzny dobytek zawdzięczają rybom i tym wspaniałym kokosom, a jedno i drugie dostają do ręki dzięki łasce oceanu - nawet tę parszywą wyspę zbudowały im koralowce.

- Nasza cywilizacja zawdzięcza mniej więcej to samo innym roślinom i zwierzętom, nie mówiąc już o robakach.

- My przynajmniej spłacamy nasze długi. Zresztą nie o to mi chodzi.

Po prostu nie podzielam twego sentymentu do pustynnych wysepek.

- Toteż nie zapraszaliśmy cię tutaj, Theo - powiedziała Caterina. Wciąż jeszcze starała się opanować zdumienie i gniew wywołane jego widokiem.

Pojawił się wreszcie Joe z piwem dla wszystkich. Pilot stanął ze szklanką przy otwartych drzwiach, nerwowo spoglądając na swego szefa. Devlin, Yale i Caterina usiedli, zwróciwszy twarzami do siebie.

- Otrzymałeś mój raport - powiedział Yale - i dlatego przyjechałeś, prawda?

- Szantażujesz mnie, Clement, i to jest powód przyjazdu. Czego chcesz?

- Co?

- Szantażujesz mnie. Thomas!

Devlin strzelił palcami i na ten znak pilot wyciągnął pistolet z ezymś, co Yale rozpoznał jako tłumik; po raz pierwszy w życiu zobaczył coś takiego nie na filmie. Pilot w dalszym ciągu trzymał szklankę w lewej ręce i pociągał z niej piwo od niechcienia, ale wzrok miał ezujny. Yale wstał.

- Siadaj! - powiedział Devlin, wymierzając w niego palec. - Siadaj

i słuchaj mnie albo okaże się później, że miałeś nieporozumienie z rekinem podczas kąpieli. Zadarłeś z potężną organizacją, Clement, ale masz szansę wyjść z tego cało, jeśli tylko będziesz posłuszny. Co kombinujesz?

Yale pokręcił głową. .

- To ty jesteś w tarapatach, Theo, nie ja. Lepiej byś wytłumaczył, o co ci chodzi.

- Z ciebie zawsze takie niewiniątko, co? Przecież dobrze wiem, że raport, który mi przysłałeś z zapewnieniem, że tylko mnie ujawniasz fakty, to szantaż szyty grubymi nićmi. Mów, jak mogę kupić twoje milczenie.

Yale spojrział na żonę; w jej twarzy wyczytał zaskoczenie, które sam odczuwał. Narastała w nim złość na samego siebie, że nie był w stanie pojąć Devlina. O co chodzi temu typowi? Jego raport był przecież tylko naukowym opracowaniem drogi, jaką bałtycki wirus przedostawał się z Morza Tyrreńskiego aż do Antarktyki. Potrząsnął głową z oszołomieniem i spuścił oczy na swoje zaciśnięte dłonie.

- Bardzo mi przykro, Theo, ale wiesz przecież, jaki jestem strasznie naiwny. Nie rozumiem zupełnie, o czym mówisz ani dlaczego uważasz za konieczne mierzyć do nas z pistoletu.

To jeszcze jeden przykład twojej paranoi, Theo - odezwała się Caterina. Wstała i podeszła do Thomasa z wyciągniętą ręką. Pilot pospiesznie odstawił piwo i wycelował ~w nią broń. - Oddaj mi to - powiedziała.

Zawahał się, unikając jej wzroku, a wtedy chwyciła pistolet za lufę, wyrwała mu go i odrzuciła w kąt pokoju.

- A teraz wynoś się. Idź i czekaj w helikopterze. I zabieraj swoje piwo.

Devlin zrobił ruch w stronę broni, ale zawahał się i usiadł z powrotem, najwyraźniej zażenowany. Starając się ignorować Caterinę, by w ten przynajmniej sposób ratować swą godność, odezwał się do Yale'a:

- Mówisz poważnie, Clement? Naprawdę jesteś takim głupcem, że nie rozumiesz, o co mi chodzi?

Caterina poklepała go po ramieniu.

Wracaj lepiej do domu. Na tej wyspie nie lubimy, jak ktoś nam grozi.

- Zostaw go, Cat, dowiedzmy się lepiej wreszcie; cóż takiego sobie uroił. Przelecieć przez pół świata z Neapolu, ryzykując swoją reputację tylko po to, żeby nam grozić jak zwykły bandyta... - zabrakło mu słów.

- Co chcesz wiedzieć, Theo? Coś paskudnego o mnie, tak?

Ostatnie zdanie przywróciło Devlinowi humor, a nawet nieco pewności siebie. .

- Nie, Caterino, to nie to. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą.

Tobą przestałem się interesować już bardzo dawno, o wiele wcześniej, niż uciekłaś z tym rybakiem.

Wstał i podszedł do wiszącej na ścianie popękanej i popstrzonej przez muchy mapy świata.

- Chodź tu i popatrz, Clement. Tu jest Bałtyk, a tu Morze Śródziemne.

Śledziłeś całą drogę wirusa nieśmiertelności od Bałtyku aż do Antarktyki, sądziłem więc, że miałeś dość rozumu, aby rozwiązać zagadkę brakującego ogniwa pomiędzy Bałtykiem a Morzem Śródziemnym. Przypuszczałem, że

chcesz sprzedać swoją dyskrecję na ten temat, teraz jednak widzę, że

cię przeceniłem. Wciąż jeszcze nie wiesz, o co chodzi, prawda?

Yale zmarszczył brwi i potarł twarz.

- Nie nadymaj się tak, Theo. Ten obszar był już poza moją jurysdykcją, badania zaczynałem dopiero od Morza Tyrreńskiego. Oczywiście, jeśli ty znasz rozwiązanie, byłbym niezmiernie zainteresowany... Przypuszczalnie wirus był przeniesiony z jednego morza do drugiego przez jakiś gatunek pelagiczny. Najbardziej prawdopodobne wydają się ptaki, ale o ile wiem, nikt dotychczas nie stwierdził, aby bałtycki wirus - wirus nieśmiertelności, jak ty go nazywasz - mógł przeżyć w ciele ptaka... oczywiście z wyjątkiem pingwinów Adeli, ale one nie występują na północnej półkuli.

Caterina potrząsnęła go za ramię.

- Kochanie, on się śmieje z ciebie.

- Ha, ha, Clement, jesteś prawdziwym uczonym - z takich, co to nie widzą, co mają tuż pod nosem, bo po uszy toną w swoich ukochanych teoriach. Ty tępą, chuda tyko! To brakujące ogniwo to przecież ja. To ja badałem tego wirusa na statku na Bałtyku, ja go przewiozłem do Neapolu do Centrali WWO, ja pracowałem dalej nad nim w moim prywatnym laboratorium, to ja...

- Nie rozumiem, w jaki sposób mógłbym się tego domyślić... ach,

Theo, to ty odkryłeś... odkryłeś metodę zaszczepiania wirusa ludziom!

Wyraz twarzy Devlina wystarczał za potwierdzenie słuszności jego domysłu.

- Kochanie - Yale zwrócił się do Cateriny - miałaś rację, i on też, rzeczywiście jestem krótkowzrocznym idiotą. Powinienem to być odgadnąć,

choćby dlatego, że Neapol leży nad Morzem Tyrreńskim. Po prostu zwykle o tym zapominamy i mówimy o Morzu Śródziemnym:

- Nareszcie zrozumiałeś - powiedział Devlin. - Tak właśnie wirus dostał się do twojego Prądu Devlina. W Neapolu jest już mała kolonia ludzi z wirusem we krwi. Jest on wydalany w postaci obojętnej, której nie szkodzi proces uzdatniania ścieków, tak więc trafia on do morza wciąż żywy, a tam . połykają go oczliki, jak to zdołałeś stwierdzić.

- Krążenie krwi!

- Co?

- Nieważne, po prostu przenośnia.

- Theo... Theo, to teraz jesteś, teraz... masz to, prawda?

- Nie lękaj się tego powiedzieć, kobieto. Tak, w moich żyłach płynie nieśmiertelność.

Skubiąc brodę Yale wrócił na swoje krzesło i pociągnął długi łyk piwa.

Przez chwilę spoglądał to na jedno z nich, to na drugie, aż wreszcie powiedział:

- Jest w tobie, Theo, przynajmniej tyle z prawdziwego naukowca, co z karierowicza. Dlatego nie mogłeś wytrzymać, aby nam nie opowiedzieć o swoich odkryciach. Ale nie o to chodzi. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że zaszczepienie człowiekowi wirusa jest teoretycznie możliwe. Dyskutowaliśmy o tym z Cat wczoraj do późnej nocy i wiesz, do czego doszliśmy? Otóż zdecydowaliśmy, że gdyby nawet można było uzyskać nieśmiertelność, powiedzmy ostrożniej, długowieczność, nie przyjęlibyśmy jej. Powinniśmy ją odrzucić, ponieważ żadne z nas nie ezuje się dostatecznie

dojrzałe, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za nasze życie uczuciowe

i seksualne przez wieleset lat.

- A więc odmawiacie, tak?

Devlin przeszedł w kąt pokoju i podniósł pistolet, zanim jednak zdążył wsunąć go do kieszeni, Yale wyciągnął do niego rękę.

- Przechowam go do twego odjazdu. A właściwie co zamierzałeś z nim zrobić?

- Powinienem cię zastrzelić, Yale.

- Daj mi go. W ten sposób nie będzie pokus. Chciałbyś dochować swego sekretu, prawda? A jak myślisz, czy dużo czasu upłynie, zanim stanie się on tajemnicą poliszynela? Takich spraw nie daje się ukrywać w nieskończoność.

Devlin nie okazywał chęci oddania pistoletu.

Utrzymywaliśmy tę tajemnicę przez pięć lat - powiedział.

- Jest nas teraz około pięćdziesięciu, dokładniej pięćdziesięciu trzech mężczyzn i kilka kobiet. Zanim sekret wyjdzie na jaw, będziemy już znacznie silniejsi, staniemy się instytutem - potrzeba nam tylko paru lat; na razie zaś robimy inwestycje i zawierujemy porozumienia. Zauważyłeś chyba, jak wielu wybitnych ludzi pojawiło się w Neapolu w ostatnich latach. Przyciąga ich tam nie tylko WWO czy Zjednoczone Europejskie Centrum Rządowe, przyjeżdżają głównie do mojej kliniki. W ciągu pięciu lat będziemy w stanie wystąpić na arenę publiczną i zawładnąć Europą - a stąd już tylko mały krok do Ameryki i Afryki.

- A widzisz, Clem - odezwała się Caterina - to wariat, to ta choroba,

o której ci mówiłam - ale on nie śmie strzelić. Nie odważy się, bo się boi, że go skazą na dożywocie, a dla niego to długi wyrok.

W jej głosie zadźwięczała nuta hysterii, Yale kazał jej więc usiąść i wypić jeszcze jedno piwo.

- Zabiorę Thea, żeby pokazać mu wieloryby. Chodź, Theo, chcę ci pokazać, do czego cię pcha twoja bezpłodna ambicja.

Theo zmierzył go baczным spojrzeniem, jak gdyby zastanawiając się, czy w tym nastroju Yale będzie mógł mu dostarczyć użytecznych informacji, najwidoczniej jednak zdscydownał, że tak, gdyż wstał i ruszył za nim.

Wychodząc obejrzał się na Caterinę, ona jednak unikała jego wzroku.

Na zewnątrz oślepiło ich słońce. Tłum gapiów wciąż kręcił się wokół helikoptera, zagadując od czasu do czasu pilota Thomasa. Nie zwracając na nich uwagi, Yale poprowadził Devlina obok wehikułu wzdłuż laguny, która Isniła oślepiająco w blasku południa. Devlin zgrzytał zębami, ale nic nie mówił. Wydawał się jakby mniejszy, gdy tak szli przez krajobraz nagi niemal jak stara kość, wąskim pasmem pomiędzy błękitnym nieskończonym oceanem i zielonym okiem laguny.

Idąc bez przestanku Yale kierował się ku północno-zachodniemu pasmu plaży. Brzeg był tu stromy, nie mogli więc widzieć stąd reszty wyspy poza starym portugalskim fortem, który ograniczał widok przed nimi. Ponura, czarna ruina mogłaby być równie dobrze jakąś wyniosłością bez znaczenia, wydzwigniętą siłami żywiołu morskiego. Gdy mężczyźni podeszli bliżej, ich oczom ukazały się kadłuby wielorybów, przy których zmałał nawet fort. Skonało tu pięć wielorybów, z czego dwa całkiem niedawno. Ogromne

cielska tych ostatnich wciąż jeszcze okryte były gnijącymi mięśniami, choć czaszki prześwitywały bielą w miejscach, gdzie wyspiarze oskrobali je z mięsa i wycięli ozory. Pozostałe trzy najwidoczniej trafiły tu znacznie wcześniej, gdyż nie pozostało z nich nic poza arkadami szkieletów z płatami zeschniętej skóry, łopoczącej tu i tam pomiędzy żebrami jak zasłona na wietrze.

- Po coś mnie tu przyprowadził?

Theo dyszał; jego muskularna klatka piersiowa pracowała z wysiłkiem:

- Aby dać ci lekcję pokory i wstrząsnąć tobą do gębi. Spójrz na to dzieło, o potężny, i rozpaczaj. To były płetwale błękitne, Theo, największe ssaki, jakie kiedykolwiek żyły na tej planecie. Popatrz na ten szkielet. Ten gość ważył z pewnością ponad sto ton. Ma około osiemdziesięciu stóp długości..

Mówiąc cały czas, wszedł do wnętrza wielkiej klatki piersiowej, która poskrzypywała jak stare drzewo, gdy chwilami wspierał się o żebra.

- Theo, w tym właśnie miejscu było serce, które ważyło około ośmiu cetnarów.

- Mógłbyś ten wykład o Pięćdziesięciu Cudach Natury, ezy jak go tam zwiesz, zrobić w cieniu.

- Ależ to wcale..nie chodzi o naturę, Theo, to bardzo nienaturalne. Te pięć zwierząt, które teraz tu gniją, połknęło kiedyś krylą daleko.stąd, w wodach Antarktyki. Wraz z tym krylem trafiła im. się zapewne porcja oczlików - oczlików zakażonych bałtyckim wirusem. Wirus zaraził wieloryby. Zgódnie z twymi własnymi słowami mogło to się zdarzyć najwyżej pięć lat temu, he? To akurat wysiarczająco długi czas; aby większa niż zwykle liczba wielorybów błękitnych - jak wiesz, były prawie na wymarciu na skutek nadmiernych

połowów - przetrwała niebezpieczeństwa okresu niedojrzałości i doczekała rozrodu. Może to również znaczyć, że okres płodności starszych osobników przedłuży się, ale pięć lat to jednak za mała, aby wieloryby rozmnożyły się tak licznie jak śledzia.

- Ale co u licha wieloryby błękitne robią tu, w pobliżu Lakkadiwów'?

- Nie miałem okazji ich o to zapytać. Wiem tylko, że te stworzenia pojawiły się przy brzegu w czasie pełni, każdy w innym miesiącu. Caterina może ci o tym opowiedzieć, bo sama je widziała i opisała mi wszystko w listach.

Mój syn Philip był z nią tutaj, kiedy przybył ostatni z nich. Jakaś

siła prowadzi wieloryby poprzez równik na te wody, jakaś siła każe im

rzucić się na tę plażę, przy czym rozdierają sobie brzuchy o rafy, jakaś

siła każe im umierać tu, gdzie je teraz widzisz. Zostań jeszcze dziesięć

dni, Theo, do następnej pełni. Będziesz mógł obejrzeć samobójstwo kolejnego

walania.

W piasku, pośród pasiastych cieni padających od żeber, mrowiły się

kraby, ryjąc i dając sobie znaki. Gdy Devlin odezwał się, w jego głosie

znowu było słychać ton gniewu.

- No dobra, sprytny rybaku, powiedz mi, jaka jest odpowiedź na tę

zagadkę. Przypuszczam, że tobie jednemu zostało objawione, dlaczego one

się zabijają.

- Przyczyną są skutki uboczne, Theo, uboczne skutki choroby nieśmier-

telności. Wiesz, że bałtycki wirus zapewnia długie życie, ale nie miałeś

czasu stwierdzić, jaki jest jego wpływ na organizm poza tym. Działałeś w takim

pośpiechu, że odrzuciłeś naukowe metody postępowania. Bałeś się zestarzeć,

zanim się zakazisz, a więc pominąłeś okres próbny. Być może będziesz żył tysiąc lat, ale w jakich warunkach? Co stało się tym biednym stworzeniom tak strasznego, że nie chcą dalej żyć? Cokolwiek to jest, musi być okropne; przekonasz się o tym; bo wkrótce odezwie się to i w tobie, i będziesz skręcał się w męczarniach razem ze swoimi konspiratorami z Neapolu.

Tłumik okazał się niezwykle skuteczny. Pistolet wydał tylko cichy syk, jak gdyby ktoś wypluł ogonek truskawki spomiędzy zębów. Więcej hałasu narobiła kula, która zrykoszetowała o zbielałe zebro i pomknęła gdzieś w morze. Yale z miejsca sprężył się w sobie i rzucił naprzód z prędkością, jakiej nie rozwijał od lat. Dopadł Devlina, zanim ten zdążył strzelić ponownie. Obaj upadli na piasek, lecz Yale był na wierzchu, przygniótł stopą rękę Devlina, obiema dłońmi chwycił go za gardło i raz za razem tłukł jego głową o piasek. Zaprzestał tego dopiero wtedy, gdy pistolet wysunął się z omdlałej ręki; chwycił broń i sianął na nogi. Posapując nieco, zaczął otrzepywać, piasek ze starych dzinsów.

- Nie było to zbyt eleganckie - powiedział, przygważdżając wzrokiem osobnika o purpurowej twarzy, który zwijał się u jego stóp. - Jesteś durniem.

Ostatnim pełnym oburzenia ruchem klepnął się po udach, obrócił się i ruszył w stronę koralowego domu.

Caterina wybiegła mu naprzeciw, przerażona jego widokiem. Krajowcy również ruszyli w jego kierunku, ale zret7ektowali ,się zaraz i cofnęli, robiąc mu przejście.

- Clem, Clem, coś ty zrobił? Chyba go nie zabiłeś?

- Napiłbym się lemoniady. Wszystkó w porządku, Cat, kochana moja...

Nie jest nawet ranny.

Dopiero kiedy zasiadł w chłodzie za stołem i napił się lemoniady, którą mu przygotowała, zaczął się trząść. Rozsądek nakazywał jej nie odzywać się ani słowem, dopóki nie odzyskał mowy; stała tylko obok, głaszcząc go po karku. Po chwili ujrzeli przez okno Devlina, który chwiejnym krokiem brnął przez wydmy. Nie patrząc w ich stronę zmierzał wprost do helikoptera.

Wdrapał się do wnętrza przy pomocy Thomasa i zaraz potem wirnik zaczął się obracać. Maszyna uniosła się w powietrze, a oni patrzyli w milczeniu, jak odfruwiała nad morzem na wschód, w stronę indyjskiego subkontynentu. Jej dźwięk zamarł, a wkrótce potem zniknęła i ona sama, połknięta przez ogromne niebo.

- Jest jak te wieloryby. Przyleciał tu, aby zginąć.

Będziesz chyba musiał dać znać do Londynu i powiedzieć im wszystko, prawda?

- Masz rację, a jutro powinienem złapać parę strzępieli. Przypuszczam, że one również są już zakażone.

Spojrzał z ukosa na żonę. Pod jego nieobecność założyła swoje ciemne okulary, ale teraz znowu je zdjęła i usiadła obok, patrząc na niego z troską.

- Nie jestem świętym, Cat, i nigdy więcej tak mnie nie nazywaj - jestem parszywym łgarzem. Musiałem okropnie nakłamać Theowi, dlaczego wieloryby rzucają się na naszą plażę.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Wieloryby od lat rzucają się na brzeg i nikt nie wie, dlaczego.

Theo przypomniałby sobie o tym, gdyby się tak bardzo nie wystraszył.

- Ja pytałam, dlaczego skłamałeś jemu. Powinieneś kłamać tylko ludziom, których szanujesz, jak mawiała moja matka.

Roześmiał się.

- Punkt dla niej. Kłamałem, aby go przestraszyć. W ciągu paru tygodni wszyscy będą wiedzieli o wirusie nieśmiertelności i, jak podejrzewam, będą chcieli - poddać się infekcji. Chciałbym, żeby się bali. Być może wtedy powstrzymają się i zastanowią, o co proszą - o wiele żyć ze wszystkimi błędami tego pierwszego życia.

- Theo zabrał twoje kłamstwo ze sobą. Chciałbyś, aby krążyło ono razem z wirusem?

Zaczął wycierać okulary chusteczką.

- Właśnie tak. Światem wkrótce wstrząsną drastyczne i radykalne zmiany.

Im wolniej będą one zachodzić, tym większe my - wszystkie żywe stworzenia, w tym również ty i ja - będziemy mieli szanse na życie zarówno długie, jak spokojne i szczęśliwe. Moje kłamstwo może stać się czymś w rodzaju hdmulca dla tych zmian. Trzeba, aby ludzie dostrzegli, jak przerażającą rzeczą jest nieśmiertelność, że wym'aga ona poświęcenia tajemnicy śmierci.

No, a może byśmy się wykapali, jak gdyby nie stało się nic ważnego'?

Poszli się przebrać i Caterina, już wyzwolona z ubrania, powiedziała:

- Miałam niespodziewaną wizję, Clem, posłuchaj - zmieniłam zdanie.

Teraz chcę, pragnę, abyśmy oboje żyli tak długo, jak to tylko możliwe.

Poświęcę śmierć dla życia. Wiesz. co zrobiłam z Philipem. To stało się

tylko dlatego, że poczułam, jak młodość wymyka mi się z rąk. Działałam w rozpacz, bo czas był przeciwko mnie. Gdybyśmy mieli więcej czasu...

Cóż, myślę, że wtedy zmieniłby się cały nasz system wartości, prawda?

Kiwnął głową i powiedział z prostotą:

- Oczywiście, masz rację.

Oboje zaczęli się śmiać z radości i podniecenia. Wciąż śmiejąc się pobiegli

ku pluszczącemu oceanowi i przez chwilę było tak, jak gdyby Yale

wszystkie swe wytoplivości zrzucił razem z ubraniem.

Gdy przysiedli nad wodą, aby założyć płetwy, Yale powiedział:

- Czasami jednak udaje mi się zrozumieć ludzi. Theo przyjechał ~tu, aby

zamknąć mi usta, ale ten tak zazwyczaj sprawny człowiek dzisiaj działał

wyjątkowo nieporadnie. To chyba dlatego, że w gruncie rzeczy chciał zo-

baczyć ciebie, jak sama odgadłaś w pewnej chwili. Sądzę, że pragnął towa-

rzyszki. na tę nieskończoną przyszłość, jaka się przed nim otwarła.

Gdy ramię przy ramieniu wślizgnęli się w ciepłą wodę, Caterina powiedziała

bez zdziwienia:

- Potrzebujemy wiele czasu razem, Clem, abyśmy się mogli nawzajem

zrozumieć.

Zanurkowali razem pod roziskrzoną powierzchnię wody, ciągnąc za sobą

smugi bąbelków powietrza i płosząc ryby. Yale zrobił zwrot i skierował się

w stronę kanału, który prowadził ku otwartemu morzu. Caterina podążyła

za nim z sercem przepelnionym radością, tak jak to było jej sądzone na

następne trzydzieści stuleci.

...I zamieranie serca

Pod ciężarem promieni słonecznych niskie wzgórza zapadały się w ziemię. Trójce ludzi siedzących za kierowcą poduszkowca zdawało się, że na wyboistej drodze przed nimi tworzą się bez przerwy kałuże jakiegoś płynu; ni to nafty, ni to wody, które w cudowny sposób znikwały, gdy tylko się do nich zbliżyli. To złudzenie optyczne było jedynym świadectwem istnienia wilgoci w tej okolicy.

Pasażerowie trwali w milczeniu już od dłuższego czasu, gdy przedstawiciel pakistańskiego ministerstwa zdrowia, Firoz Ayub Khan, zwrócił się do swych gości i powiedział:

- W ciągu godziny będziemy w Kalkucie, módlmy się zatem i ufajmy, że klimatyzacja tej nędznej maszyny wytrzyma tak długo:

Siedząca przy nim kobieta nie dała poznać po sobie, że go słyszała, i dalej patrzyła wprost przed siebie przez słoneczne okulary; zadanie udzielenia stosownej odpowiedzi pozostawiła mężowi. Była to szczupła kobieta o ciemnej cerze, a w jej wąskiej twarzy uwagę zwracały wydatne usta. Jej czarne włosy, zebrane nad jednym ramieniem, były w nieładzie po czterogodzinnej podróży ze stacji wśród wzgórz.

Jej mąż, wysoki i szczupły mężczyzna, na oko tuż po czterdziestce, nosił staromodne okulary w stalowej oprawie. Jego spokojna twarz przybrała wyraz znużenia, jak gdyby wiele lat spędził na oglądaniu takich krajobrazów, jaki rozciągał się za oknem.

- To ładnie z pańskiej strony, doktorze Khan - powiedział - że zgodził się pan na tak powolny środek lokomocji. Rozumiem, że pan się niecierpliwi, aby powrócić do pracy.

- Tak; tak, niecierpliwie się, to szczerą prawdą. Kalkuta mnie potrzebuje, i pana także, teraz gdy już powrócił pan do zdrowia. I pani Yale też, naturalnie.

Trudno było powiedzieć, czy w głosie Khana kryła się nuta sarkazmu:

- Warto jednak było zobaczyć kraj na własne oczy, ażeby się przekonać o rozmiarach problemów, z jakimi walczą Indie i Pakistan.

Clement Yale przekonał się już wcześniej, że jego wypowiedzi, w zamię-
rzeniu mające ułagodzić przedstawiciela ministerstwa, przynosiły wręcz prze-
ciwny rezultat.

- Panie Yale, o jakich problemach pan mówi? - odpowiedział Khan. -

Nie ma nigdzie żadnych problemów poza tym starym' szatańskim problemem
kondycji ludzkiej, i to wszystko.

- Miałem na myśli ewakuację Kalkuty i związane z tym trudności. Z pew-
nością zgodzi się pan ze mną, że stanowią one problem, czyż nie?

Takie przepychanki słowne zdarzały się co chwila podczas ostatniej pół
godziny jazdy.

- No, tak, jeśli się ma do czynienia z miastem zamieszkanym przez jakieś
dwadzieścia pięć milionów ludzi, należy spodziewać się paru problemów,
nieprawdaż, panie Yale? Być może nawet szatańskich problemów, ale zawsze
wynikają'ych z ludzkiej kondycji i z nią związanych. Dlatego właśnie orga-
nizatorzy, ludzie tacy jak my, są zawsze potrzebni.

Yale wskazał ręką za okno, gdzie połamane wozy walały się na poboczach.

- To pierwszy wypadek w czasach nowożytnych, aby miasto po prostu
tonęło w bagnie i musiało być opuszczone. Uważałbym to za problem

wyjątkowy.

Prawie nie słuchał długiej i skomplikowanej odpowiedzi Khana; ministerialny urzędnik zawsze wplątywał się w sprzeczności, z których nie mogło go wyratować nawet jego gadulstwo. Yale wolał wyglądać przez okno, za którym przesuwaly się obrazy świata zniszczeń i upału. Od pewnego czasu droga obstawiona była porzuconymi samochodami i wozami. Właściwie spotykali je przez całą drogę od szpitala wśród wciąż jeszcze zielonych wzgórz wschodniego Madrasu, lecz tu, bliżej Kalkuty, ich szczątki leżały coraz gęściej. Wśród resztek wielu wozów widniały kości, niemal nierozpoznawalne pozostałości wołów pociągowych; pomniejsze szkielety zalegały pustkowie po obu stronach drogi.

Kierowca poduszkowca bez przerwy coś mrucał do siebie. Martwi nie stanowili dla nich przeszkody, ale trzeba było zważać na żywych i półżywych. Z wielkiego mrowiska przed nimi sączyły się grupki istot ludzkich i samotni wędrowcy, szły całe rodziny, mężczyźni, kobiety i dzieci, szczęśliwsi z nich prowadząc zwierzęta juczne, ręczne wózki lub rowery, które dźwigały ich samych lub ich mizerny dobytek. Parli przed siebie jak ślepcy, nie wiedząc, dokąd idą, deptając tych, którzy upadli, nie unosząc nawet głów, by usunąć się przed nadjeżdżającym poduszkowcem.

Od stuleci tacy sami ludzie ciągnęli do Kalkuty z zamierającego wnętrza kraju. Dziewięć miesięcy temu, gdy zarząd miasta upadł, a indyjski Kongres ogłosił, że miasto ma być opuszczone; strumień ten odwrócił bieg i uciekinierzy raz jeszcze stali się uciekinierami. Przez ciemne szkła docierały do Cateriny strzępy obrazów. Ludzkość gnana zawsze ten pęd bose stopy na

drodze odwieczna gliniana droga i brak prawdziwego celu tylko droga do wody i lepszych pastwisk. Czy dostaniemy tam coś do picia zawsze kamień pod stopą przechodnia.

- Przypuszczam - powiedziała - że nie możemy mieć nadziei na prysznic, kiedy przyjedziemy na miejsce.

- Klimatyzacja nie działa tak, jak powinna, szanowna pani - odezwał się Ayub Khan - i stąd wrażenie gorąca. Brak było właściwej obsługi pojazdu. Bez wątplenia złożę odpowiednie zażalenie, gdy tylko przybędziemy.

Szarpnąwszy gwałtownie przy wymijaniu grupy uciekinierów poduszkowiec okrążył wzgórze. Przed nimi otworzyła się, blednąca w oddali, nieskończona równina delty Gangesu, spalająca się w swym własnym wyobrażeniu słońca.

Na uboczu od sztaku wznosiły się milczące, posępne mury jakiegoś budynku koloru błota. Nie była to forteca ani świątynia - funkcjonalizm bez znaczenia, a teraz i bez funkcji, wskazywał na jakąś fabrykę. Za jej węglem znikło parę kóz. Ayub Khan rzucił komendę kierowcy i pojazd przechylił się na bok. Droga była chwilowo opustoszała. Maszyna skoczyła przez rów i podryfowała w stronę fabryki, wznosząc kłęby kurzu. Gdy silnik ucichł i poduszkowiec osiadł na ziemi, Ayub Khan sięgnął za siebie po strzelbę, która leżała w pokrowcu na półce nad ich głowami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Yale, unosząc się z siedzenia.

- Chwila rozrywki, panie Yale, która nie zajmie nam więcej niż parę minut. A może pan i pańska małżonka zechcieliby wysiąść wraz ze mną i trochę rozprostować kości? Proszę iść powoli, bo przecież by pan chory.

- Nie mam ochoty wysiadać, doktorze Khan. Jesteśmy pilnie potrzebni

w Kalkucie. Po co się zatrzymujemy? Co to za miejsce'?

Pakistański lekarz uśmiechnął się, wziął pudełko nabojów i Odpowiedział, ładując jednocześnie strzelbę: .

- Zapomniałem, że nie tylko był pan dopiero co chory, ale że jest pan również nieśmiertelny i dlatego winien pan szczególnie dbać o siebie.

Zapewniam pana jednak, że rozpaczliwe kłopoty Kalkuty poczekają na nas przez te dziesięć minut. Proszę nie zapominać, że kondycja ludzka nie zna przerw.

Kondycja ludzka nie zna przerw, kije kamienne łuki i strzały, karabiny, broń jądrowa pociski kierowarie a stopa i twarz idzże w piach doskonałe miejsce dla śmierci. Poruszyła się i powiedziała:

- Kondycja ludzka nie zna przerw, doktorze Khan, niemniej jednak jesteśmy dzisiaj oczekiwani na Dalhousi Square.

Khan roześmiał się i otworzył drzwi.

- Oczekiwanie jest przyjemną częścią naszego życia, pani Yale.

Małżonkowie spojrzeli po sobie. Gestykulując z ożywieniem kierowca poszedł w ślady Ayuba Khana.

Najwyraźniej upaja się swoją władzą - powiedział Yale

To myśmy wyblągali podwiezienie.

Podwiezienie tak, ale nie moralizowanie. Cóż, to jeszcze jeden czynnik

- Czujesz się dobrze, Clem?

- Doskonale.

Aby tego dowieść, wyskoczył z pojazdu demonstrując energię. Wciąż

jeszcze był zły na siebie, że złapał cholere w samym środku pracy, gdy trzeba było wyężyć wszystkie siły; umierająca metropolia dosłownie kipiała chorobami.

Gdy podał rękę Caterinie, oboje poczuli tchnienie upału równin. Żar jak w rozpalonym pudle nie pozwalał skoncentrować uwagi na niczym innym, a wilgotne powietrze dusiło. Przy każdym oddechu czuli, jak kłuje ich w ramionach, a ciała oblewają się potem.

Ayub Khan maszerował dziarsko z bronią gotową -do strzału; u jego boku paplał z podnieceniem kierowca, niosący zapasową amunicję. Słabo nakręcona sprężyna czasu obróciła dzień zaledwie nieco poza południe, wrak fabryki stał więc odarty z cienia. Mimo to oboje Anglicy instynktownie ruszyli w jego stronę śladem Pakistańczyków, czując w miarę zbliżania się, jak zastarzałe gorąco odbija się od ścian wielkiej skamieliny.

- Stara cementownia.

- Cmentarz.

- Z gruzuś powstał...

- Tak, to zaiste pole nagrobne...

Strzelba wypaliła z hukiem.

- Pudło! - zawołał Ayub Khan beztrosko. Podrapał się w czubek głowy wolną ręką, po czym ruszył bicgiem, a kierowca tuż za nim. Przecwałowali obok rozklekotanych szczątków metalowej przybudówki, która wspierała się o skrzydło fasady fabryki, echem kroków strącając jakąś zetlałą belkę, i znikli.

I termity też mają swoje mocarstwa i sposobności a jednak nie przekroczyły

swoich możliwości iworzą i niszczą w wielkiej skali czasowej a mimo to nie mają aspiracji. Człowiek nie zaznał spokoju od kiedy odkrył że żyje na planecie jego świat stai się skończony ale aspiracje urosły nimkończenie i cóż u diabła mogą robić ci idioci?

Yale włączył swój kieszonkowy wentylator i wstąpił na zapiaszczone schody, wiodące ku wejściu. Dwuskrzydłowa drewniana brama, niegdyś zaryglowana, od dawna stała już otworem. Zatrzymał się na progu i obejrzał na żonę, która stanęła niezdecydowanie w pełnym słońcu.

- Wchodzisz?

Machnęła niecierpliwie ręką i ruszyła za nim. Yale patrzył na nią - obserwował ten krok już niemal od czterech stuleci i wciąż nie był nim znużony. To był jej krok: niezależny, ale nie całkiem; samoświadomy, a zarazem dosłownie pełen samozapomnienia; niespieszny krok, ani młody, ani stary; krok kobiecy krok Cat; koci krok. Określał ją równie jednoznacznie, jak jej głos. Uświadomił sobie, że w zamęcie ostatnich dwóch miesięcy, w skazanej na śmierć Kalkucie i w szpitalu, często zapominał o niej, o niej żyjącej

Gdy zrównała się z nim, ujął ją za ramię.

- Odczucia?

- Szczególne - przede wszystkim irytacja z powodu Khana. Wtórne - świadomość, że potrzebujemy naszych Khanów...`

~ Tak, ale jak się teraz czujesz?

- Jak zawsze, nasze stulecia. Poważne ograniczenie obszaru nieprzewidywalności w stosunkach międzyludzkich wśród kaukasko-chrześcijańskiej

społeczności. W konsekwencji nagromadzenie odpadów, spowodowane nieznanymi czynnikami zużycia.

- Takimi jak Khan?

- Oczywiście. Czujesz się podobnie zużyty, Clem?

- On ma własności ściernie, ditto cały subkontynent:

Jego palce rozluźniły chwyt. Na wiecznie młodym, brunatnym aiele nic pozostał nawet ślad przelotnego dotknięcia; zresztą bałtycki wirus szybko uzdrowiłby skutki najmoćniejszego uścisku, do jakiego byłby zdolny.

Weszli do zrujnowanego wnętrza fabryki, krocząc po stertach gruzu.

W bocznym kantorku leżał trup z otwartymi ustami, wyschnięty i;-bez zapachu. Coś wyślizgnęło się spod niego w panicznym strachu przed własną śmiercią.

Z przejścia w głębi dobiegały jakieś hałasy, pomieszane i zwięlokrotnione przez echo.

- Z powrotem na naszą tratwę?

- Ta stara świątynia indyjskiej nieudolności - urwał, gdyż z głębi ciemności przed nimi wypadły dwie małe kozy, czarnopyskie i bezbrode, 0 oczach, zgodnie z ukochanym określeniem Ayuba Khana "szatańskich", i rzuciły się naprzód, klucząc i becząc.

Gdzieś daleko; pośród plątaniny cieni, Ayub Khan stanął i uniósł strzelbę.

Yale nie zdążył poruszyć ręką, gdy padł strzał.

Świątynie i sprzeczne pragnienia budowania i niszczenia ascetyczni i tłuści kapłani mój kochający mąż jego delikatne wnętrze wciąż nietknięte przez tyle lat.

Wszystko naraz - koziółkujące kozy, Yale osuwający się na ziemię, huk wystrzału z niezwykłą siłą wybiegający daleko w przyszłość, Cat sparaliżowana i skądś nowy promień światła penetrujący wewnątrz, jak gdyby zapadła się część dachu.

Ruszając do biegu Ayub Khan przywrócił Caterinie zdolność ruchu; obróciła się do Yale'a, który już stawał na nogi. Pakistańczyk biegł w ich kierunku, krzycząc, z nieodstępnym kierowcą za plecami.

- Drogi, szalony panie Yale! Mam szczerą nadzieję, że pana nie zastrzeliłem. Cóż by to było za straszne nieszczęście, gdyby pan zginął. Skąd miałem wiedzieć, że pan zakradał się potajemnie w to. miejsce? Na moich przodków! Jakżeż mnie pan wystraszył. Szofer! Pani lao, jhaldi!

Miotał się zaaferowany wokół Yale'a, dopóki kierowca nie przyniósł z ambulansu kubka wody. Yale napił się i powiedział:

- Dziękuję, czuję się doskanale, doktorze Khan, ponieważ na szczęście pan mnie nie trafił.

- Co pan wyrabia? - wykrzyknęła Cat.

Trzymaj ręce razem aby się nie trzęsły i uda gdyby go zabito morderstwo najstraszliwsze przestępstwo nawet dla krótko żyjących a ten idiota...

- Szanowna pani, z pewnością musiała pani widzieć, że strzelałem do tych dwóch kóz. Choć, jak święcie wierzę, jestem dobrym muzułmaninem, to jednak strzelałem do tych dwóch przeklętych szatańskich kóz. Taki postępek chyba nie wymaga żadnego usprawiedliwienia?

Wciąż jeszcze się trzęsła, choć starała się odzyskać równowagę. Rzeczywiście wysoki współczynnik zużycia.

- Kozy? Tutaj'?

- Pani Yale, kierowca i ja spostrzeżliśmy te kozy z drogi i pogoniliśmy za nimi. Ponieważ od tyłu fabryka leży w gruzach, uciekły przed nami do środka, a my za nimi. Nic nie wiedzieliśmy, żeście wślizgnęli się tutaj po cichu od frontu. Tyle strachu! Na moich przodków!

Przerwał, aby zapalić meskaletkę, i wtedy zauważyła drżenie jego ręki; to sprawiło, że odzyskała nieco sympatii dla tego człowieka. Jej puls uspokoił się jeszcze bardziej, gdy zerknęła na Yale'a, ponieważ obecnie ich spojrzenia, równie tajemnicze jak ich rozmowy, stały się też równie dobrym środkiem porozumienia. Strzał z pewnością padł przez pomyłkę i Yale'a bardziej interesowała teraz komedia, odgrywana przez Khana, niż własne reakcje.

Tak wielu mogłoby uważać go za człowieka małej wartości nie dostrzegając że prawda polega na tym iż ma on zdolność dodawania do własnej głębi innych ludzi. Słucha skromnie gdy inni mówią do woli a potem celnie trafia w sedno sprawy. Ta moja wiara której on by nie pochwalał rzeczywiście mam obowiązek nie wierzyć bezgranicznie ja też muszę mieć udział w jego zużyciu.

- Wiecie państwo, ja doprawdy nienawidzę tych szatańskich kózek. To one są główną przyczyną zniszczeń w Indiach i Pakistanie. i ziemia nigdy nie odżyje, dopóki stąpają po niej kozy. W mojej rodzinnej prowincji widziałem, jak wdrapują się one na drzewa, by zjadać młode, delikatne pędy. Dlatego też te najnowsze prawa dotyczące eksterminacji kóz, wsparte premią dwóch noworupii za kopyto, są tak bardzo po mojej myśli, bardziej niż wy Europejczycy możecie pojąć...

- To oczywiście prawda, doktorze Khan - odpowiedział Yale. - W pełni podziela pańską niechęć do destrukcyjnych możliwości kóz. Na nieszczęście zwierzęta są nieodłączną częścią naszej dość urozmaiconej historii. Świnie, dzięki którym pierwotne lasy, powalone kamiennymi toporami, już nie odrosły, oraz owce i kozy, stanowiące tradycyjne rezerwy ludzkiego pożywienia, pozostawiły równie niezatarte ślady w Europie, jak w Azji czy gdzie indziej. Ich dziełem, na równi z człowiekiem, są zerodowane wybrzeża i spustoszona ziemia wokół Morza Śródziemnego.

Czy to nacisk mych myśli sprawił że mówi teraz o dziejach ludzkości? Po tyluset latach dobrych i złych rozwój człowieka jawi mi się jako szukanie po omacku drogi wyzwolenia z sytuacji naiwnych błaznów tak zależnych od przypadku a mimo to przypadek niszczy jak pogoda czymkolwiek sobie okryć grzbiet my którzy żyjemy długo wiemy że serce zamiera bez zużycia a najsilniejszym czynnikiem zużycia jest przypadek.

Ayub Khan zdążył się już ożywić, uśmiechał się poprzez dym swej me-skaletki, gestykulując jedną ręką.

- No, no, panie Yale, po co tyle goryczy - nikt nie przeczy, że Europejczycy też miewali pewne kłopoty. Przyznajmy jednak, jeżeli mamy być zupełnie szczerzy, że im również przypadło całe szczęście, nieprawda? Rozumiem przez to, aby poprzestać na jednym przykładzie, że bałtycki wirus trafił się właśnie w ich części świata; prawda, zupełnie tak samo, jak rewolucja przemysłowa wiele setek lat temu.

- Pańska część świata, doktorze, ma wystarczająco wiele problemów do pokonania i bez długowieczności.

- Otóż to właśnie! Co jest korzystne dla was Europejczyków, a i dla Amerykanów, kryjących się od dawna w swym haniebnym izolacjonizmie, to okazuje się całkowicie niedobre dla nieszczęsnych narodów Azji - to właśnie chciałem powiedzieć. Dlatego też nasze rządy prawnie zakazały długowieczności. Jak dobrze wiecie, Pakistańczyk, który okaże się długo żyjącym, podlega karze głównej, tylko dlatego, że nie potrafimy rozwiązać naszych szatańskich problemów populacyjnych tak łatwo, jak w Europie. .Tak więc skazani jesteśmy na średni~ życia równą czterdziestu siedmiu latom - wobec waszych tysiącleci. Czy jest to uczciwe, panie Yale? Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi, gdziekolwiek żyjemy na tej planecie Ziemi, na równiku czy na biegunie. na moich przodków.

Yale wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam nazywać tego uczciwym, nikt by tak nie mógł powiedzieć. Po prostu tak już jest, że "uczciwość" nie jest obiektywnym prawem przyrody. Człowiek wynalazł pojęcie sprawiedliwości - przyznaję, że to jeden z jego lepszych pomysłów - reszty świata jednak; niestety, to nic nie obchodzi.

- Panu łatwo być zadowolonym z siebie.

Wydaje się taki rozgniewany i urażony skórę ma niemal purpurową oczy żółte zupełnie jak u kozy niezbyt dobry przedstawiciel swojej r~sy. Antypatii nigdy nie można przewyciężyć ci co mają i co nie mają neandertalczycy i kromanieńczycy bogaci i biedni nigdy nie możemy oddać tego co mamy. Powinniśmy wrócić i jęchać dalej. Chciałabym umyć głowę. Kozy przemierzały bez końca równiny z każdym ich krokiem wielkie zaczarowane ruiny

za nimi rozpadały się na coś podobnego do słomy a gdy tak szły i mnożyły się długie źdźbła trawy wystrzelały z ciał ludzkich żalegających równinę a kozy koziółkowały i jadły.

- Samozadowolenie nie ma tu nic do rzeczy. To są fakty i...

- fakty! Fakty! Ach, to wasze szatańskie hrytyjskie przywiązanie do faktów. Przypuszczam, że nadmiar kóz też pan nazywa faktem'? Ale jak to możliwe, niech pan się zastanowi, jak to może być, aby te kozy mogły żyć wiecznie, a ja nie, pomimo mojego znacznie wyżej rozwiniętego umysłu'?

- Obawiam się - powiedział Yale - że mogę panu odpowiedzieć tylko dalszymi faktami. Wiemy już teraz, czego nie wiedzieliśmy przez wiele lat, otóż wiemy, że bałtycki wirus jest pochodzenia pozaziemskiego i przybył na Ziemię prawdopodobnie w tektynie., Wirus ten, aby egzystować w żywym organizmie, wymaga pewnych rzadko spotykanych własności dynamicznych mitochondriów komórkowych, zwanych rubmisją -prasa popularna nazwała je Czerwonymi Drganiami - a warunki takie napotyka zaledwie w paru ziemskich gatunkach, wśród których są tak obce sobie stworzenia, jak oczliki, pingwiny Adeli, śledzie. ludzie oraz kozy i owce.

- Mamy dość kłopotów z tą szatańską suszą bez nieśmiertelnych kóz.

- Nieśmiertelność, jak pan nazywa długowieczność, nie stanowi zabezpieczenia przed głodem. Chociaż okres płodności kóz teoretycznie rozciągnął się w nieskończoność, przccież wciąż zdychaj~ one z braku żywności:

- Nie tak szybko jak ludzie.

- Oczywiście trzeba będzie zwiększyć czujność, gdy nadejdą deszcze.

- To tylko was, nieśmiertelnych, stać na takie długie czekanic:

- Jesteśmy długo żyjący, doktorze Khan.

- Na moich przodków, niech mi pan wyjaśni różnicę pomiędzy długo wiecznością a nieśmiertelnością w sposób zrozumiały dla krótko żyjącego Pakistańczyka.

- Nieśmiertelność może doprowadzić do zapomnienia o śmierci i w rezultacie o obowiązkach wobec życia; długowieczność nie.

- Jedźmy już do Kalkuty - powiedziała Cat. Poczwała, że nie może znieść obecności sępów, które rzędem obsiadły szczyt poplamionej ściany frontowej, i skierowała się ku wyjściu. Kierowca już wcześniej wymknął się z fabryki przez zaplecze.

Na długiej drodze pokorne postacie. Kiedy ta kobieta ostatnio się kąpała pomyśleć rodzić dzieci w takich warunkach. Takie jest życie tu wszędzie dlatego opuściliśmy nasze niepokalane wieże w chłodniejszych krajach ich wygodę i ugody tu w zniszczonej części świata nikt nie ukrywa czym życie jest naprawdę. Ciemni i inni długo żyjący jesteśmy niczym więcej jak przemysłowymi zachodnimi urządzeniami do powstrzymywania rozkładu ciągle wierzy że pewnego dnia każdy z nas będzie musiał rozpaść się w proch nasza własna Kalkuta och na litość Boga szatańsko pewna.

Mężczyźni szli za nią. Zauważyła, że Ayub Khan położył rękę na ramieniu Yale'a i mówił do niego w bardziej przyjazny sposób.

Drzwi do kabiny poduszkowca pozostawili otwarte, we wnętrzu musiało więc być już obrzydliwie gorąco. .

Przez drogę przebiegły dwie zwisłouchy, wychudłe jak szkielety kozy, paradując tuż przed nosami dwóch uchadźców. Dla tych bosych mężczyzn

z kijami, dźwigających swój dobytek-w workach przytroczonych do pleców, kozy przeclstawiały nie tylko pożywienie, ale i nagrodę, jaką władze obiecywały za kopyta. Ocknąwszy się z transu zaczęli wymachiwać rękami i natarli ~na zwierzęta z kijami. Jedna z kóz otrzymała cios w kanciasty grzbiet i poderwała się do kłusa. Ayub Khan uniósł strzelbę i wypalił do drugiej z niemal bezpośredniego dystansu, trafiając ją w żołądek.

Tylne nogi zwierzęcia załamały się. Brocząc krwią, koza starała się zwlec z drogi, aby dalej od Ayub Khana. Uchodźcy rzucili się na nią, przepychając się nawzajem jak dwa strachy na wróble. Ayub Khan podbiegł z gniewnym okrzykiem, odtrącił ich na bok kolbą, po czym wezwał kierowcę, który nadbiegł truchtem, wyciągając po drodze nóż. Przykućnąwszy, dźgał raz za razem kozie nogi, dopóki nie oddzielił kopyt; zwierzę wydawało się już wtedy martwe.

Rząd zapłaci. Jak wszystkie indyjskie ustawy i ta premia faworyzowała bogatych i silnych kosztem biednych i słabych. Jak wszystko inne, chłodna sprawiedliwość stolicy topniała w upale.

Sępy ponad wejściem do fabryki przestępowały z nogi na nogę i kiwały głowami ze zrozumieniem.

Ayub Khan wyprostował się i skinieniem ręki zachęcił uchodźców, aby zabrali ścierwó kozy, oni jednak stali tępo i nie ruszali się z miejsca, prawdopodobnie obawiając się ataku. Klasnąwszy w dłonie, Ayub Khan pozbył się tego problemu i zawrócił, obchodząc dookoła kozie zwłoki.

- Zechce mi pani jeszcze darować trochę czasu - zwrócił się do

Cateriny - żebym ustrzelił tę drugą kozę. To mój społeczny obowiązek.

Siedzieć w cieniu ambulansu albo pójść patrzeć jak wypełnia swój społeczny obowiązek. Właściwie nie mamy wyboru nie myśli chyba że jesteśmy tacy wrażliwi nie trzeba nam jego grubiańskich demonstracji żeby uświadomić sobie że nawet i nas obejmuje powszechne porozumienie ze śmiercią. Pamiętam jak razem z Clemem wróciliśmy z walki byków w Sewilli Philip który miał wtedy chyba nie więcej niż siedem lat zapytał Kto wygrał? i płakał gdy się z niego śmieliśmy. Powinniśmy być dzielnymi bykami toros bravos które żyją czymś bardziej godnym zaufania niż nadzieja.

- Chodźmy z nim - powiedział Yale - żeby ci tutaj mogli wziąć wreszcie swoje resztki.

- Słusznie, a my pouczestniczymy w koziej żertwie.

- Krwawy żart.

- Koza kaputt.

- Przegrzanie?

- Tylko opóźnienie. Dzięki. - Uśmiechy w ogólnym zaślepieniu.

- Opóźnienie skutkiem braku celu z możliwością spełnienia.

- Vice versa też, tak sędzę.

- Tak sędzę. Typowo wschodnie. Dlatego nigdy tu nie było rewolucji przemysłowej.

- Fabryka przykładem, Clem.

- Tak, właśnie. Źle zlokalizowana względem zaopatrzenia, zasilania, odbiorców i dystrybucji.

Sama Kalkuta jest podobnym przykładem na niezwykle szatańską skalę.

Położona nad Hooghli rzeką teraz niemal całkowicie zamuloną pomimo

rozpaczliwych wysiłków. I te odwieczne podziały między Indiami i Pakistanem jak odcięte kończyny uchodźcy unicestwiający wszelkie próby zaprowadzenia porządku w końcu beznadziejne zanieczyszczenie wód podziemnych pod miastem przez kanalizację ciągle wybucha epidemii szerzących się wśród mezołitycznych ludzi kryjących się w swych jaskiniach przekazujących sobie choroby wirusy wykorzystują ludzi jako chodzące miasta.

- Ditto Kalkuta, mniej więcej.

- Pst, założona przez wschodnioindyjskiego kupca, rozdrażnisz Khana.

Idąc na tyły fabryki spoglądali na siebie z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Ocalała koza miała biały tułów, poznaczony brunatnymi plamkami; łeb i pysk ciemnobrązowe, niemal czarne, oczy żółte. Wałęsała się wśród niskich basha. które obecnie opuszczone, niegdyś zapewne służyły właścicielom fabryki jako baraki. Ich rozsypujące się, plecione ściany przydawały im pozoru przezroczystości - promienie słońca przesywały je na wylot.

Za barakami, w mgławicowych rejonach, gdzie ziemia spotkała się z niebem, widniał jakiś nierozpoznawalny odprysk Kalkuty.

Koza wspięła się na tylne nogi i żarłocznie pociągnęła palmowe liście, pokrywające dach basha. Część dachu runęła, wznosząc obłoki kurzu, i w tym momencie Ayub, Khan strzelił. Wierzgając swymi cennymi kopytkami koza zniknęła pośród baraków.

Ayub Khan przeładował strzelbę.

- Zasadniczo jestem szatańsko dobrym strzelcem. Winę składam głównie na ten przeklęty upał, który zbija mnie z tropu. A czemu by pan, panie

Yale, nie miał spróbować sam i przekonać się, czy uzyska pan dużo lepsze wyniki'? - podał mu broń.

- Nie, dziękuję, doktorze. Wolałbym raczej, abyśmy już ruszali do Kalkuty.

- Kalkuta to po prostu tragedia - niech czeka, niech czeka. We mnie gra myśliwska krew. Najpierw muszę mieć trochę zabawy z tą straszną szatańską kozą.

- Zabawy? Chwilę temu był to społeczny obowiązek:

Ayub Khan spojrzał na niego.

- A właściwie co pan z pańską piękną żoną tu robicie? Czy to wszystko dla was nie jest zabawą równie dobrze jak społecznym obowiązkiem? Proszę siebie zapytać, czy naprawdę musieliście przyjeżdżać do naszej szatańskiej Azji?

Chyba ma rację czyż nie musimy wciąż okupywać się za przywilej życia i oglądania innych żywotów przez poświęcenie śmierci Clement musiał często sam sobie to powtarzać przez poświęcenie śmierci czyż nie ,wyrzekliśmy się również norm zwyczajnego życia w tym długo rozciągniętym życiu czy nie jest naszą pokutą zabawa w pomoc przy nadzorze ewakuacji Kalkuty naszym polowaniem na kozę. W jego oczach nigdy nie dostąpimy odkupienia tylko wobec samych siebie.

- Zamiast zajmować się drobnostkami u siebie, doktorze, woleliśmy zmierzyć się z waszymi otchłannymi problemami. Powinien pan nam wybaczyć.

Niech pan idzie zabić tę swoją kozę, a potem pojedziemy do Kalkuty.

-To bardzo ciekawe, że kiedy zaczyna pan mówić do rzeczy, nie jestem w stanie pana zrozumieć.

Szofer.idhar ao.

Machnąwszy ręką na kierocę przedstawiciel ministrestwa zdrowia zniknął za rozsypującymi się barakami.

Drogą wciąż szli uchodźcy gubiąc się w oparach czasu i przestrzeni. Indywidualność poszła w zapomnienie - pozostały tylko organizmy, poruszające się zgodnie z pewnymi prawami, wykonujące prastare ruchy. W Hooghli płynęła woda, znosząc osady od źródła do delty, dragi rdzewiały, kanały zatykały się na szarych ławicach piaskowych małe cętkowane kraby wymachiwały szczypcami.

Robak, który fruwa

Wędrowiec był zbyt pogrążony w rozmyślaniach, aby zauważyć, że zaczął padać śnieg. Szedł powoli, a jego sztywny i kunsztowny strój w licznych fałdach i ozdobach rozpinał się na jego ciele jak namiot czarnoksiężnika.

Droga, którą wędrował, schodziła w wielką dolinę, stopniowo wciskając się coraz głębiej między górskie ściany. Niejednokrotnie wydawało się, że z tych ogromnych zwalisk ziemskiej materii nie będzie można znaleźć wyjścia, że geologiczna zagadka jest nierozwiązywalna, chtoniczna aranżacja nieładu nie do przeniknięcia; lecz wtedy właśnie dolina i drumlin tworzyły między sobą nowy kierunek, zaskoczenie, ocalenie, a droga na nowo odzyskiwała zapal i nierozważnie zagłębiała się coraz bardziej w otaczające wzniesienia.

Wędrowiec, którego imię dla żony brzmiało Tapmar, a dla reszty świata Argustal, ehłonał tę naturalną harmonię w całkowitej parestezji, duchem bowiem był bliski panującemu tu nastrojowi. Tak silna była to więź, że niespodziewany opad śniegu zwiększył jedynie siłę jego odezuć.

Choć godzina była południowa, niebo przybrało intensywnie szarobłękitną barwę zmierzchu. Siły sadowiły się ponownie na słońcu, przesłaniając jego światło. Na skutek tego Argustal nie był w stanie spostrzec, kiedy na powarstwionym i popękany bastionie skalnym po lewej stronie, którego

niewidzialny szczyt wznosił się o dobrą miłą ponad jego głową, pojawiły się ślady sztucznego pochodzenia, co oznaczało, że wkroczył w dziedziny ludzkiego plernienia Or.

Za kolejnym zakrętem drogi ujrzał przed sobą podróżniczkę, zmierzającą w jego kierunku. Była to wielka sosna, zamarła w bezruchu do czasu, gdy ciepło ponownie wróci na świat i pobudzi do krążenia soki w jej drewnianych mięśniach na tyle, aby raz jeszcze umożliwić jej powolny ruch naprzód. Przechodząc mimo musnął ;przepraszająco, lecz bez słowa, skraj jej zielonej szaty.

Dość było tego spotkania, by jego świadomość wzniosła się ponad poziom transu. Jego umysł, który bujał daleko, starając się ogarnąć wspaniałości roztaczającego się wokół ziemskiego chaosu, cofnął się teraz, by znów skoncentrować się na szczegółach najbliższego otoczenia, i Argustal poznał, że dotarł do Or.

Tam, gdzie droga rozdzielała się, niezdolna dokonać wyboru pomiędzy dwoma równie nie zachęcającymi wąwozami, Argustal zobaczył grupę istot ludzkich, stojących posągowo w lewym odgałęzieniu. Podszedł ku nim i stanął w milczeniu czekając, aż zauważą jego obecność. Za jego plecami mokry śnieg zasypywał ślady stóp.

Ludzie owi byli daleko zaawansowani w kierunku Nowej Formy, znacznie bardziej niż Argustal mógł oczekiwać na podstawie zebranych informacji.

Stało ich tu pięcioro: ich wielkie ramieniste wyrostki tu i tam puszczały delikatne, brązowe listowie, a jeden z nich sięgał wysokości niemal sześciu metrów.

Śnieg osiadał na ich konarach i włosach.

Argustal czekał długo, lecz gdy stwierdził, że ma się już dobrze pod

wieczór, cierpliwość go opuściła. Przyłożył dłonie do ust i zakrzyknął grom-
ko ku nim:

- Hejże tam, Drzewoludzie z Or, zbudźcie się z waszego drzewnego snu
i pomówcie ze mną. Imię moje brzmi Argustal dla świata, a podążam do
mego domu w dalekim Talembilu, gdzie morze róiowieje od wiosennego
planktonu. Potrzebuję od was składnika do mojej niby-układanki, ożywcie
się więc, błagam, i przemówcie.

Śnieg ustał już wtedy, a siekący deszcz usunął jego wszelki ślad. Znowu
zaświeciło słońce, lecz jego zniekształcone oko nigdy nie zaglądało na dno
tego wąwozu. Jeden z ludzi wstrząsnął gałęzią, rozsiewając dookoła krople
wody, i jął czynić przygotowania do przemowy. Był on stosunkowo mały,
wzrostem nie przewyższał trzech metrów, a jego dawny, typowy dla naczelných
kształt, którego zaczął się pozbywać zapewne jakieś parę milianów lat temu,
wciąż jeszcze był w nim widoczny. Wśród sęków i węzłów jego nagiego ciała
dawały się odróżnić usta, które rozwarły się i przemówiły:

- Mówimy do ciebie, Argustalu dla świata. Jesteś pierwszym małpoczło-
. wiekiem, jaki od bardzo dawnych czasów przywędrował tą drogą, toteż jesteś
mile widziany, chociaż przerwałeś nam rozmyślania o nowych ideach.

- A czy wymyśliliście coś nowego? - zapytał Argustal ze zwykłą sobie
zuchwałością.

- W rzeczy samej; lepiej jednak niech nasz starszy powie ci o tym,
jeśli sam uzna to za stosowne.

Argustal właściwie wcale nie był pewien, czy rzeczywiście chce usłyszeć,

o czym traktuje nowa idea. Drzewoludzie znani byli bowiem ze skłonności do mętnego wyrażania swoich myśli, pomiędzy tymi pi~ioma powstało już jednak małe poruszenie, jakby lokalne wiatry zbudziły się w ich gałęziach, usadowił się więc na głazie i przygotował na oczekiwanie. Jego własny cel był tak ważny, że wszelkie przeszkody na drodze do jego spełnienia zdawały się nieistotne.

Zanim starszy przemówił, ogarnął go głód, powęszył więc tu i tam i pod pniakami złowił parę wolno czmychających larw, ze strumyka zaczerpnął nieco maleńkich rybek, a z rosnącego w pobliżu krzaka zerwał przygarść orzechów.

Nim starszy przemówił, zapadła noc. Osobnik ten, wysoki i węzłasty, miał struny, głosowe ściśnięte w głębi swego sękatego ciała, toteż aby mówić, musiał wyginać swe konary tak, ażeby najcięższe gałązki znalazły się tuż przed jego ustami, a wówezas wydychane przez nie powietrze tworzyło coś w rodzaju ulotnej, szepczącej mowy. W geście tym osobliwie przypominał dziewczynę, mówiącą z palcem ostrożnie przyciśniętym do warg.

- W istocie posiadamy nową ideę, o Argustalu-dla-świata, choć może się okazać, że wykracza ona poza t voją zdolność pojmowania lub naszą umiejętność jej wyrażania. Otóż stwierdziliśmy, że istnieje wymiar zwany czasem, i z tego faktu wyciągnęliśmy pewien wniosek.

Spróbujemy wytłumaczyć ci prosto pojęcie czasu jako wymiaru w następujący sposób. Jak wiemy, wszystkie rzeczy na Ziemi istnieją tak długo, że ich początki zostały zapomniane. To, co możemy pamiętać, zawiera się pomiędzy owymi zagubionymi-we-mgle rzeczami a chwilą obecną; jest to

czas, jaki zamieszkujemy, i przywykliśmy myśleć o nim jako o jedynym istniejącym czasie. Ale my, ludzie z Or, dowiedliśmy, że tak nie jest.

- W tych zaginionych otchłaniach czasu powinny być inne czasy przeszłe - rzekł Argustal - ale one dla nas nic nie znaczą, ponieważ nie możemy do nich sięgnąć tak, jak do naszej własnej przeszłości.

Jak gdyby tej uwagi w ogóle nie było, srebrzysty szept ciągnął dalej:

- Podobnie jak jedna góra wydaje się mała, gdy oglądamy ją ze szczytu innej góry, tak też i rzeczy w pamiętanej przez nas przeszłości wydają się małe z punktu widzenia terażniejszości. Załóżmy jednak, że cofnęliśmy się do tego punktu w przeszłości, aby popatrzeć na terażniejszość - nie moglibyśmy jej zobaczyć, choć przecież wiemy, że ona istnieje. Stąd właśnie dochodzimy do wniosku, że jest jeszcze wiele czasu w przyszłości, aczkolwiek jest on dla rras niedostępny.

Przez długą chwilę dane było nocy trwać w ciszy, aż wreszcie Argustal powiedział:

- No cóż, to rozumowanie nie wydaje mi się wcale takie niezwykle. Przecież wiemy, że słońce, jeśli tylko Siły pozwolą, zaświeci jutro znowu, prawda?.

- Ależ „jutro” to tylko sposób wyrażania czasu - odezwał się na to mały drzewocłowiek, który rozmawiał z nim jako pierwszy - my zaś odkryliśmy, że jutro istnieje również w sensie wymiaru. Jest realne już, tak samo jak dzień wczorajszy.

Na święte duchy! - pomyślał Argustal. - Czemu dałem się wplątać w tę filozofię? - na głos zaś powiedział:

- Opowiedzcie mi o wniosku, jaki z tego wyciągnęliście.

I znowu cisza, dopóki starszy nie przyciągnął ku sobie gałęzi i nie

zaszeptał z plątaniny patykowatych palców:

- Dowiedliśmy, że jutro nie jest niespodziewane. Jest ono nieodmienne jak dzień dzisiejszy czy wczorajszy, po prostu kolejny odcinek na drodze czasu, czyż jednak nie wiemy, że wszystko podlega zmianom? Ty też jesteś tego świadom, prawda?

- Oczywiście. Wy sami również się zmieniacie.

- Jest, jak powiadasz, choć nie przypominamy sobie już, jacy byliśmy przedtem, albowiem wspomnienie o tym jest zbyt odległe w czasie. A zatem: skoro czas jest wszędzie taki sam, oznacza to, że nie ma w nim zmiany, a więc nie może on również wywoływać zmian. A zatem: na świecie istnieje inny nieznan czynnik, który wymusza zmiany.

Tak to swym porwanym szeptem znów sprowadzili grzech na świat.

Zapadnięcie ciemności wzbudziło w Argustalu potrzebę snu. Za pozwoleniem starszego drzewoluc.zi wdrapał się na jego gałęzie i spał tam smacznie do chwili, gdy światło dnia powróciło na skrawek nieba widoczny ponad górami i przesączyło się do ich kryjówki. Argustal zeskoczył na ziemię, zrzucił wierzchnią odzież i wykonał swe zwyczajne ćwiczenia, po czym zwrócił się ponownie do pięciu istot i opowiedział im o swojej niby-układance, prosząc ich o pewne kamienie.

Drzewoludzie dali mu zezwolenie, chociaż wątpliwe, czy zrozumieli sens jego pracy, Argustal zaczął więc przeczesywać teren w poszukiwaniu potrzebnego mu kamienia, a jego wszystkie zmysły wciskały się jak wiatr w każdą szparę i szczelinę.

Wąwóz w głębi zawalony był kamiennym rumowiskiem, strumień jednak przeciskał się do jego niższej części przez odstępy pomiędzy blokami.

Wspinając się z trudem, Argusta) wgramolił się na szczyt skalnego rumowiska i znalazł się w zimnym i wilgotnym przesmyku, zaledwie zagłębieniu pomiędzy dwiema wielkimi górskimi odnogami. Światło było tu przyćmione, a niebo niemal niewidoczne, silnie powarstwione skały przewieszały się bowiem wielkimi okapami nad jego głową; Argustał jednak rzadko spoglądał w górę. Podążał za biegiem strumienia aż do miejsca, gdzie wrzynał się on w głąb litej skały, znikając na zawsze sprzed ludzkich oczu.

Poświęcając się swemu zajęciu od wielu tysiącleci Argustał wyćwiczył się do tego stopnia, że niemal rozumiał mowę kamieni i teraz był bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że odnajdzie kamień pasujący do jego wielkiego dzieła.

Kamień był tutaj - leżał tuż nad wodą, wypolerowaną powierzchnią do góry, kiedy jednak Argustał wydłubał go spośród otoczków i żwiru i obrócił, zauważył, że od spodu miał on nierówności - jakby czarne zęby wyrastające z gładkich dziąseł. Zdumiało go to, lecz gdy przykucnął, aby rzecz zbadać dokładniej, zaczął sobie uświadamiać, że właśnie trochę chropowatości było niezbędne w planie jego niby-układanki. Natychmiast kolejny etap jego schematu stał się dla niego oczywisty i Argustał po raz pierwszy ujrzał w wyobraźni swe dzieło takim, jakie powinno być w całości. Ta wizja wzruszyła go i poruszyła. Siadł tam, gdzie stał, ściskając w szorstkich palcach gładko-chropowaty kamień, i z niewiadomych powodów zaczął rozmyślać o swojej żonie, Pamitar. Przeniknęło go ciepłe uczucie miłości, aż

ściągnął brwi i uśmiechnął się do siebie.

Zanim podniósł się i zaczął odwrót z wąwozu, wiedział już wiele o nowym kamieniu. Miał nosa do tych spraw, potrafił więc cofnąć się do czasów, kiedy kamień był znacznie większy niż obecnie, kiedy zajmował dostojne miejsce na szczycie góry i kiedy został pochłonięty przez jej trzewia, kiedy został wyrzucony w powietrze i rozpętał się przy upadku, a potem stał się częścią skały; kiedy skała ta rozpuściła się, a następnie przekształciła w łagodny deszcz pyłu wulkanicznego, sypiący się przez zatrutą atmosferę, by opaść na dno ciepłego morza, dawno temu, w nieznanym miejscu.

Z czułym poszanowaniem umieścił kamień w obszernej kieszeni i wygramolił się z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Nie pożegnał się z pięcioma z Or - stali razem milczący, ze szcepionymi gałęźmi-ramionami, śniąc o mrocznym grzechu zmiany.

Podążał teraz spieszenie ku domowi, wędrując wpierw przez kresy Starej Crotherii, a następnie przez Tamię, gdzie nie było nic prócz błota.

Według legend Tamia była niegdyś żyzną krainą, gdzie cętkowane ryby roiły się w strumieniach, płynących przez lasy, teraz jednak błoto pokonało wszystko. Z rzadka rozsiane wioski zbudowane były z wypalonego błota, długi z błota wysuszonego, niebo miało błotnistą barwę, a nieliczni ludzie o skórze koloru błota, którzy dla swoich zabłoconych powodów zdecydowali się tu zamieszkać, rzadko kiedy mieli bodaj rogi wyrastające z ~ ramion i wyglądali, jak gdyby sami mieli rozpuścić się w błoto. W całym tym kraju nie było nawet jednego przyzwoitego kamienia. Argustal napotkał tu drzewo, zwane Dawid-przy-rowie-który-wysycha, zdążające w tym samym

kierunku. Przygnębiony nieodmienną brunatnością Tamii wyblagał u niego podwiezienie i wdrapał się między jego konary. Drzewo było stare i sęcate, gałęzie miało równie poskręcane, jak i korzenie i wciąż zgrzytliwie, sylaba po sylabie, opowiadało o swych nielicznych marzeniach.

Słuchając go w nieustannym napięciu, aby zapamiętać każdą sylabę podczas długiego oczekiwania na następną, Argustal zauważył, że Dawid mówił mniej więcej w ten sam sposób co ludzie z Or, wtykając powiewne gałązki w otwór w pniu. O ile jednak drzewoludzie wydawali się zatracać umiejętność korzystania ze strun głosowych, o tyle człekodrzewo tworzyło sobie ich odpowiedniki z napiętych osłon swych włókien. Powstawał więc problem: kto był dla kogo inspiracją, a kto kogo kopiował, choć było również możliwe, że obie strony - tak bardzo zaabsorbowane wyłącznie sobą - stały się odbiciem tego samego wynaturzenia całkiem niezależnie.

- Ruch jest najwyższym pięknem - rzekł Dawid-przy-rowie-który-wy-sycha, a słońce przewędrowało wiele stopni po błotnistym nieboskłonie, zanim to wypowiedział. - Ruch jest we mnie. Nie ma ruchu w ziemi. W ziemi nie ma ruchu. Wszystko, co zawiera ziemia, jest bez ruchu. Ziemia spoczywa w spokoju, a spoczywać w ziemi, to nie być. Piękna nie ma w ziemi. Poza ziemią jest powietrze. Powietrze i ziemia tworzą wszystko, co jest, i ja też byłem z ziemi i z powietrza. Byłem z ziemi i powietrza, ale będę z samego powietrza. Jeżeli jest ziemia, jest również inna ziemia. Liście ulatują w powietrze i moja tęsknota wraz z nimi, ale one są tylko częścią mnie, ponieważ jestem z drzewa. O, Argustalu, cóż ty wiesz o cierpieniach drzewa!

W istocie, Argustal nie wiedział nic, na długo bowiem przed końcem tej sękatej przemowy, gdy wzeszedł księżyc i zapadła cicha, błotnista noc, zasnął skulony wśród pokrzywionych gałęzi Dawida z kamieniem ukrytym głęboko w kieszeni.

Dwukroć jeszcze zasypiał, dwukroć obserwował ich mozolną wędrówkę po nie przedeptanych szlakach, dwukrotnie nawiązywał rozmowę z melancholijnym drzewem, a kiedy obudził się ponownie, całe niebo było pokryte puszystymi obłokami, pomiędzy którymi prześwitywał błękit, w oddali zaś widniały niskie wzgórza. Zeskoczył na ziemię - dookoła rosła trawa, a drogę zaścierały kamyki. Argusta) aż zaskowyczał z rozkoszy i puścił się na przełaj przez błonia, wykrzykując podziękowania.

- ...wzrastanie... - powiedział Dawid-przy-rowie-który-wysycha.

Murawa skończyła się, ustępując miejsca piaskowi, poroślemu tu i ówdzie ostrą trawą, kaleczącą skraj jego szaty. Mimo to Argustal brnął przed siebie - przepelniała go radość, był to bowiem jego własny kraj, a kierunek wskazywały mu cienie przypadkowych kopców, kładące się na piasku. Pewnego razu przemknęła nad nim jedna z Sił i przez krótką chwilę grozy świat pogrążony był w nocy; zahuczał grzmot i lichej deszczyk spadł setką kropel; w moment później była jednak już na kresach słowiecznego władztwa i zapadła się gdzieś, diabli wiedzą gdzie.

Niewiele zwierząt, a jeszcze mniej ptaków dotrwało tych czasów. Szczególnie mało było ich w tych swojskich pustkowiach Zewnętrznego Talembilu, a jednak Argustal natknął się na siedzącego na kurhanie ptaka, który spoglądał spod swego czubka okiem przymglonym przez milion lat strachu. Na widok

Arpustala ptak, wiedziony starym odruchem, zatrzepotał skrzydłem, Argustal wszakże zbyt szanował głód, ściskający mu wnętrzności, aby próbować go zaspokoić ścięgnami i piórami i wydawało się, że ptak rozumiał to dobrze.

Zbliżał się już ku domowi. Pamięć Pamitar rysowała przed nim jej obraz tak ostro, że mógł iść za nim jak za zapachem. Po drodze minął jednego ze swoich ziomków, starego małpizona w czerwonej masce zwisającej niemal do samej ziemi; zaledwie skinęli sobie głowami na znak, że się poznali.

Wkrótce na pustym horyzoncie dostrzegł bloki zapowiadające Gornilo, pierwsze miasto Talembilu.

Owrzodziałe słońce wędrowało poprzez hiebo, a Argustal ze stoickim spokojem pokonywał kolejne wydmy, aż wreszcie wkroczył w cień białych bloków Gornilo.

Nikt już dziś nie pamiętał - utratę pamięci wielu uważało za przywilej - jakie czynniki zdeterminowały pewne rysy architekturj Gornilo. Było to miasto małpoludzi i jego pierwsi mieszkańcy, zapewne w celu wzniesienia pomnika rzeczom jeszcze bardziej odległym i straszonym, uczynili niewolników z siebie i innych nie istniejących już stworzeń, budując owe wielkie sześciany, które obecnie wykazywały już oznaki zniszczenia, jak gdyby zmęczone wreszcie codziennym obracaniem cienia wokół podstawy. Mieszkający tu małpoludzie byli tymi samymi małpoludźmi, którzy mieszkali tu zawsze; jak zwykle, wysiadali oni niezmordowanie pod potężnymi pomnikowymi blokami, pokrzykując teraz do mijającego ich Argustala od niechcienia, tak jak się puszcza kaezki po powierzchni jeziora, żaden z nich jednak już nie

pamiętał, czy i jak przeciągnął te bloki przez pustynię. Niewykluczone, że ta zdolność zapominania była niezbędnym warunkiem zyskania trwałości granitowego tworzywa bloków.

Za blokami leżało miasto. Niektóre z drzew były tu tylko gośćmi, skłonny do stania się tym, kim był Dawid-przy-rowie-który-wysycha, większość z nich jednak rosła na starą modłę, zadowolona z ziemi i obojętna na ruch. Ich powęźlone i pokrzyżowane we wszystkie strony konary i gałęzie tworzyły wraz z garbatymi pniami zmyślnie i wiecznie zmienne siedziby nadrzewnych mieszkańców Gornilo.

Argustal dotarł wreszcie do swego domu, który znajdował się po drugiej stronie miasta.

Dom jego nazywał się Cormok. Argustal obracał go wpierw, poklepał i polizał, a dopiero potem wbiegł lekko po pniu do mieszkania. Pamitar nie było w domu, był jednak w tak pogodnym nastroju, że nie zaskoczyło go to, a nawet nie poczuł się specjalnie rozczarowany. Obszedł powoli pokój dookoła, czepiając się od czasu do czasu sufitu, by mieć lepszy widok, liżąc i węsząc po drodze i tropiąc powidoki obecności swej żony. Na koniec wybuchnął śmiechem i padł pośrodku podłogi.

- Uspokój się, stary - powiedział.

Nie ruszając się z miejsca pogrzebał w kieszeniach i wydobył z nich pięć kamieni, zdobytych w trakcie wędrówek, po czym umieścił je na uboczu od reszty swego dobytku. Rozebrał się, wciąż siedząc i ciesząc się własną nieporadnością, po czym wślizgnął się do kąpieli piaskowej.

Gdy już tam leżał, zerwał się potężny zawodzący wicher i w jednej

chwili pokój pograżył się w mętnej szarości. Na zewnątrz wzniosła się modlitwa, modlitwa kierowana przez ludzi ku obojętnym Siłom, aby nie niszczyły słońca. Jego dolna warga ułożyła się w grymasie zarazem zadowolenia i pogardy; nie pamiętał już modlitw Talembilu. To było miasto religijne. Gromadziło się tu wielu Niesklasyfikowanych z jałowych pustaci - ludzi lub zwierząt, których wyobraźnia odwiodła od tego, czym byli niegdyś, i przekształcała w rokokowe formy, znacznie dokładniej określające ich wrodzone przymioty, tak że przypominali istoty zapomniane lub wymarłe albo też takie, jakich świat nigdy dotąd nie widział, wszyscy zaś deklarowali, że nie mają nic wspólnego z resztą świata oprócz jednego pragnienia, aby powstrzymać ropiejące źródło światła słonecznego od dalszego rozkładu.

Zanurzony w rozkosznych ziarenkach kąpieli, z której wyłaniała się tylko jego głowa, ręka i kolano, Argustal otworzył swą percepcję szeroko na wszystko, co mogło nadejść, ostatecznie jednak przyszło rriu do głowy tylko to, o czym myślał zawsze - wbrew temu bowiem, co twierdzili drzewoludzie z Or, arsenały mózgowia dawno temu zostały już opróżnione ze wszelkiej nowej amunicji - a mianowicie, że właśnie w takiej kąpieli, podczas takiego nieobliczalnego wiatru główne formy życia na ziemi, czyli ludzie i drzewa, prawdopodobnie po raz pierwszy odczuły pęd ku zmianom. Ale co, do samej zmiany... czy to możliwe, aby istniała ta znacznie starsza, hulająca po całym świecie rzecz, o której wszyscy zapomnieli?

Nie wiedzieć z jakiego powodu pytanie to wzbudziło w nim złe samopoczucie. Niejasno przeczuwał, że istnieje inna strona życia oprócz zadowolenia i szczęścia. Każda istota odczuwa zadowolenie i szczęście, czy jednak war-

tości te tworzą całość, czy też, być może, są one tylko jedną stroną medalu?

Argustal warknął. Dość raz zacząć takie bełkotliwe rozmyślenia i można skończyć jako człowiek z rogami na ramionach.

Strzepnąwszy piasek wy dostał się z kąpieli. Poruszając się o wiele żwawiej, niż to czynił od niepamiętnych czasów, zsunął się z domu na ziemię, nie zawracając sobie głowy ubraniem. Wiedział, gdzie może znaleźć Pamitar. Powinna być poza miastem, strzegąc niby-układanki przed obszarpanymi, gniewnymi nędzaczami Talembilu.

*

Wiał zimny wiatr, niosący od czasu do czasu płatki mokrego śniegu, które sprawiały, że Argustal zaczął mrugać i zastanawiać się, czy jest sens iść dalej. Maszerując poprzez zielone i szeleszczące centrum Gornilo i klucząc pomiędzy wyjcami, którzy klęczeli bezładnie dookoła i zanosili prostackie modlitwy, Argustal podniósł wzrok ku słońcu. Jego tarcza, widoczna tylko fragmentarycznie spoza drzew i chmur, cała w plamach i krostach, chwilami bywała przesłonięta całkowicie, po czym rozbłyskiwała na nowo. Słońce iskrzyło jak gorejące ślepe oko, a wiatr, który wiał jak gdyby wprost od niego, parzył skórę i mroził krew.

Argustal dotarł w końcu do swego własnego skrawka ziemi, leżącego z dala od zielonego miasta wśród ruchliwej pustyni; tu też napotkał swoją żonę, Pamitar, która dla reszty świata zwała się Miram. Siedziała w kucki, obrócona tyłem do wiatru, a niesione wichrem ostre ziarna piasku cięły jej kosmate kostki. O parę kroków dalej jeden z nędzarzy panoszył się wśród kamieni Argustala.

Pamitar podniosła się powoli i zsunęła szal z głowy.

- Taprhar! - zawołała.

Otoczył ją ramionami, kryjąc twarz na jej barku. Świergotali i pogdakiwali do siebie, tak tym pochłonięci, że nie zauważyli, kiedy wiatr ucichł i pustynia zastygła w spokoju, a światło słoneczne odzyskało swój blask.

Zwolniła uścisk, gdy wyczuła w nim napięcie. Na skryty znak odskoczył od niej, przelatując niemal nad jej ramieniem, i rzucił się z furią naprzód, zwalając na piach przyczajonego nędzarza.

Stwór rozpląszczył się, dwuboczny i bezkształtny: z ramion wyrastały mu dodatkowe ręce, głowę miał wilczą, tylne nogi krzywe jak u goryla; odziany w setki gałganów, mimo to nie był odpychający. Odturtał się ze śmiechem i zakrzyczał wysokim, gdaczącym głosem:

- Trzech mężczyzn leżało pod krzakiem bzu i żaden nie usłyszał, jak pierwszy powiedział: "Zanim nadejdzie plon, uderzy grom", a drugi śpi nocą z przyglupami, powiedz mi, chłopie, jak się nazywa trzeci?

- Wynocha stąd, ty opętany dziadu!

Odbiegając, dziadyga wykrzyczał przez śmiech swą odpowiedź płacząc słowa, gdy w ucieczce gramolił się na oślepie przez wydmy:

-Ależ to Tapmar, bo to on mówi donikąd!

Argustal i Pamitar obrócili się znów ku sobie. Pomimo osfrego słońca badawczo wpatrywali się nawzajem w swe twarze, oboje bowiem zapomnieli, kiedy ostatni raz byli razem, tak długi był ów czas i tak słaba ich pamięć.

Wspomnienia jednak pozostały i powróciły, gdy je odszukał. Płaskość jej nosa, łagodna linia nozdrzy, krągłość jej oczu i ich brunatność, zarys jej

warg - wszystko to, ponieważ ukochane, pozostało w pamięci przyjmując tym samym walor wyższy od piękna.

Mówili do siebie cicho, cały czas patrząc, i z wolna zaczęło w nim narastać coś jakby odprysk tego, co przeczuwał po ciemnej stronie tarczy, gdyż fizjonomia jego ukochanej nie była już taka, jak niegdyś. Wokół jej oczu, a szczególnie pod nimi, zaległy cienie, a cienkie bruzdy spływały z kącików jej ust; i czyżby zarys jej sylwetki równie był bardziej przygięty ku dołowi niżli uprzednio?

Gdy wewnętrzny niepokój stał się już zbyt wielki, poczuł się zmuszony opowiedzieć Pamitar o tych sprawach, brak mu jednak było stosownych słów, aby je wyrazić, a ona wydawała się go nie rozumieć, dopóki wreszcie nie pojęła, sama o tym nie wiedząc, gdyż zaczęła przejawiać podniecenie, Argustal więc wkrótce dał spokój pytaniom i zajął się niby-układanką, by ukryć swe zakłopotanie.

Układanka zajmowała dobrą milę piaszczystego terenu, wznosząc się nad nim na parę stóp. Choć z każdej ze swoich długich wypraw Argustal przynosił nie więcej niż pięć kamieni, było ich tu zgromadzonych wieleset tysięcy, a może i milionów, wszystkie zaś starannie rozmieszczone tak, że w ich porządku nie mogłaby się zorientować żadna żywa istota, nawet sam Argustal, obojętne, z jakiego by miejsca patrzyła: Wiele z tych kamieni wisiało w powietrzu na różnych wysokościach, wsparte na kołkach i żerdziach, większość jednak leżała na ziemi, gdzie Pamitar strzegła ich cały czas przed wtargnięciem kurzu i dzikich ludzi; spośród tych leżących kamieni część znajdowała się w odosobnieniu, pozostałe zaś tworzyły gęste skupiska -

a wszys~ko zgodnie z planem, który był jasny tylko dla Argustala, choć i on obawiał się, że odtworzenie go z pamięci może potrwać do następnego zachodu słońca. Wbrew tym obawom jednak plan jui zaczynał rysować się w jego umyśle; Argustal przypomniał sobie ze zdumieniem krętą i zawiłą jak fuga trasę swej wędrówki do wąwozu drzewoludzi z Or i pojął, że wciąż tkwi w nim zdolność umieszczenia w ogólnym schemacie nowych kamieni, które przyniósł ze sobą, odpowiednio do owej naturalnej harmonii - zdolność ukończenia niby-układanki.

A czyżby bruzdy na twarzy jego żony też miały swoje miejsce w owym układzie?

Czyżby miało jakiś sens to, co krzyczał ten nędzny dziadyga, że on, Argustal, mówi donikąd? I... i... to straszne "i" - miałażby nicość mu odpowiedzieć?

Zgięty wpół chwycił żonę za ramię i pobiegł wraz z nią do domu, wysoko na bezlistnym drzewie.

- Mój Tapmarze - odezwała się do niego, gdy wieczorem spożywali danie z owoców - dobrze, żeś powrócił do Gornilo, gdyż miasto porosło snami, jak wyschnięte łożysko rzeki turzycą, i to napawa mnie lękiem.

Strwożyło go to w głębi serca, albowiem styl jej wypowiedzi zdawał mu się harmonizować z nowo zaobserwowanymi bruzdami na jej twarzy, kiedy więc zadał jej pytanie, cóż to są za sny, głos jego zabrzmiał łagodniej, niżby sobie tego życzył.

- Są to sny - odparła, patrząc na niego dziwnie - gęste jak futro, tak gęste, że dławią mnie w gardle, gdy chcę ci o nich opowiedzieć. Zeszłej nocy śniło mi się, że wędrowałam przez krainę, która wyglądała, jakby

była pokryta wszędzie dookoła futrem, aż po odległy horyzont, futrem, które rozgałęziało się i puszczało pędy, futrem w ponurych odcieniach czerwonego brązu, burości i czerni, ale i połyskliwego, prawie czarnego granatu. Próbowałam przekształcić to dziwne tworzywo w bardziej znajome kształty krzaków i starych, pokrzywionych drzew, ono jednak pozostało takim, jakie było, a ja stałam się... we śnie... skądś wiedziałam, że stałam się dzieckiem...

Patrząc gdzieś w bok ponad stłoczoną roślinnością miasta Argustal powiedział:

- Być może te sny rodzą się nie w Gornio, ale w tobie samej, Pamitar.

Co to jest dziecko?

- O ile wiem, nie ma czegoś takiego w rzeczywistości, ale to dziecko, którym byłam we śnie, było kimś małym i świeżym, a w działaniu zarazem zwinnym i nieporadnym. To była istota odrębna ode mnie, poruszała się i myślała zupełnie inaczej niż ja, a jednak była mi całkowicie bliska.

Byłam nią; Tapmarze, byłam tym dzieckiem, a kiedy się obudziłam, nabrałam przekonania, że kiedyś naprawdę byłam czymś takim jak dziecko.

Zabębnił palcami po kolanach, potrząsnął głową i zamrugał w nagłym gniewie.

- To twoja paskudna tajemnica, Pamitar. Wiedziałem, że coś ukrywasz, od chwili kiedy cię ujrzałem. Wyczytałem to z twojej twarzy, bo zmieniła się w zły sposób. Wiesz przecież, że przez wszystkie miliony lat swego życia nie byłaś nigdy nikim innym, jak tylko Pamitar, a zatem dziecko musi być złym duchem, który cię opętał. Może teraz zamienisz się w dziecko.

Wrzasnęła i cisnęła w niego zielonym owocem, który właśnie gryzła, ale on zręcznie go schwytał, zanim został trafiony.

Przed udaniem się na spoczynek zawarli tymczasowy pokój. Tej nocy Argustalowi śniło się; że on również jest mały, delikatny i z trudem posługuje się mową; jego zamiary były proste i pewne jak lot strzały i nie znał wahań na swej drodze.

Obudził się, drżący i zlany potem, wiedział bowiem, że jak we śnie, tak i w rzeczywistości był niegdyś dzieckiem, i drażyło go to bardziej niż choroba. A kiedy jego udręczony wzrok skierował się na zewnątrz; ujrzał, że noc była jak mieniący się jedwab, gdyż ciemnoniebieską kopułę niebios pocętkowały plamy światła i cienia, co oznaczało, że Siły igrają ze słońcem w trakcie jego wędrówki poprzez Ziemię; i Argustal pomyślał o własnych podróżach po szerokiej Ziemi i o wizycie w Or, kiedy to drzewoludzie szeptali o nieznanym czynniku, który wymusza zmiany.

- Przygotowali mnie do tego snu - wymamrotał. Teraz wiedział już, że zmiana kryła się u samych jego korzeni; kiedyś był tą wątłą, małą obcą istotą zwaną dzieckiem, podobnie jak jego żona; a być może również i inni. Myślał znów o tej małej zjawie z chudymi nóżkami i świergotliwym głosem, aż wstręt do niej zmroził mu serce; ~aczął wydawać przeciągłe jęki, których ukojenie gorliwej w pocieszaniu Pamitar zabrało większą część nocy.

Wychodząc zostawił ją smutną i bladą. Wziął ze sobą kamienie, które zbierał w podróży – i ten dziwnego kształtu z wąwozu w Or, i pozostałe, które zdobył weześniej. Tuląc je mocno do siebie, Argustal skierował się

przez miasto ku swej przestrzennej konstrukcji. To, co od tak dawna było głównym przedmiotem jego troski, dziś wreszcie miało osiągnąć kształt ostateczny; ponieważ jednak nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego to zadanie tak go zaprzęta, jego serce było wolno i obojętnie. Coś wdarło się w jego duszę i zniweczyło radość.

Pośród alei niby-układanki spoczywał stary nędzarz; wsparłszy kudłatą głowę na bryle szarego wapienia, Argustal był jednak w zbyt podłym nastroju, aby go przepędzić:

- Kiedy twój układ kamieni ułoży słowa, słowa z kamieni zabrzmia -
zawołał stwór.

- Porachuję ci kości, dziadygo! - warknął Argustal, w duszy jednak zadumał się nad tym, co ten nikczemnik powiedział, a i nad tym, co rzekł poprzedniego dnia o tym mówieniu donikąd; Argustal bowiem nikomu, nawet Pamitar, nie opowiadał o przeznaczeniu swej konstrukcji. Bo też i w istocie jemu samemu stało się ono jasne dopiero dwie podróże temu - a może trzy albo cztery? Schemat rozpoczął się po prostu jako schemat (czyż nie tak?), a dopiero znacznie później obsesja przerodziła się w cel.

Trzeba było czasu, aby prawidłowo umieścić nowe kamienie. Gdziekolwiek Argustal ruszył się w obrębie swego wielkiego układu, tam dziad włókł się za nim, to na dwóch, to znów na czterech nogach. Inne typki z miasta ściągnęły również, aby się pogapić, żaden z nich jednak nie odważył się przekroczyć granic struktury, pozostawali więc odlegli, jak źdźbła porastające krawędzie świadomości Argustala.

Jedne z kamieni musiały się stykać, inne zaś powinny właśnie leżeć oddzielnie.

Szedł, schylał się i ruszał znowu, podporządkowując się wielkiemu schematowi, który, jak to już wiedział, krył w sobie uniwersalne prawo. Praca wprawiała go w estetyczny trans podobny temu, jakiego doświadczył przemierzając labiryntową drogę do Or, lecz o jeszcze większym riateżeniu. Czar prysł dopiero wtedy, gdy stary nędzarz, stojąc o parę kroków od niego, odezwał się głosem równym i niepodobnym do swego zwykłego monotonnego zaśpiewu.

- Pamiętaj cię, jak kładłeś tu najpierwszy z tych kamieni, gdy byłeś dzieckiem.

Argustal wyprostował się.

Poczuł zimny dreszcz, choć zgorzkniałe słońce świeciło jasno. Głos uwiązał mu w gardle, a gdy starał się przemóc, wzrok jego napatkał oczy żebraka, ropiejące pod czarnym czołem.

- A ty wiesz, że kiedyś byłem taką zjawą, dzieckiem? - zapytał.

- Wszyscy jesteśmy zjawami; wszyscy byliśmy dzieckami. Ponieważ w naszych ciałach płyną soki, kiedyś byliśmy młodzi.

- Dziadu... ty mówisz o jakimś innym świecie, nie naszym.

- Święta prawda, święta prawda; tylko że tamten świat był kiedyś naszym światem.

- Och nie, tylko nie to.

- Pog'adaj o tym ze swoją machiną. Jej język jest z kamienia i nie może kłamać, jak mój.

Jłrgustal podniósł kamień i cisnął go.

- Tyle zrobię! Precz ode mnie, i to już!

Kamień trafił starucha w żebra, aż ten jęknął boleśnie i zatoczył się do tyłu, potknął się, poderwał się znowu i rzucił się do ucieczki. Kończyny zawirowały wokół niego, odbierając mu wszelkie podobieństwo do rodzaju ludzkiego. Przepchnął się przez szereg gapiów i przepadł.

Argustal przykucnął na chwilę tam, gdzie stał; starając się na oślep połapać w sprawach; które wymykały mu się, gdy tylko przybierały wyraźniejsze kształty, a zyskiwały na wadze, gdy odsuwał je od siebie. Burza, jaka się przez niego przewaliła, pozostawiła ślady zniszczeń, podobne skazom na tarczy słońca. Nawet gdy uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak dokończyć niby-układanki, wciąż był wstrząśnięty tym, czego się dowiedział. Choć nie rozumiał dlaczego, pojmował, że ta nowa wiedza doprowadzi do zniszczenia starego świata.

Wszystko znajdowało się teraz na swoim miejscu, poza dziwnie ukształtowanym kamieniem z Or, który Argustal dźwigał pewnie na ramieniu, wtulony pomiędzy ucho i dłoń. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak wielkiego dokonał dzieła, była to jednak czysto zawodowa refleksja bez odrobiny sentymentu. Argustal był teraz nie więcej jak paciorkiem, toczącym się przez ogromny labirynt wokół niego.

Każdy z kamieni zawierał w sobie swój zapis czasowy oraz współrzędne przestrzenne. Każdy z osobna reprezentował inne siły, odmienne epoki, rozmaite temperatury, składniki chemiczne, czynniki kształtujące i parametry fizyczne, wszystkie razem zaś tworzyły anagram Ziemi, wyrażający jej złożoność i jedność zarazem. Ostatni kamień nie był niczym więcej, jak punktem ogniskującym dynamikę całej struktury; gdy Argustal powoli kroczył poprzez

wibrujące aleje, napięcie wzrosło do szczytu.

Argustal uchwycił to słuchem i zatrzymał się, po czym poczłapał parę kroków to w tę, to w tamtą stronę. W ten sposób przekonał się, że istniał nie jeden, ale miliardy punktów ogniskowych, zależnych od położenia i ukierunkowania kamienia kluczowego.

Bardzo cicho wyszeptał:

- Oby me obawy dały się potwierdzić... - i wtem wszędzie wokół zbudził się cichy głos z kamienia, zająkliwy wpierw, nim nabrał wyrazistości, jak gdyby z dawna znał słowa, lecz nigdy nie miał okazji ich wypróbować.

- Tyś... - cisza, a potem potop słów.

- Tyś tyś jest, o tyś jest robak, tyś jest chora, rózo niewidzialny rózo.

Pośród burzy wycia tyś jest pośród burzy. Robak tyś jest wkradł się, o rózo, tyś jest chora i wkradł się fruwa w nocy tej siedlisko tej twej płomiennej życie stoczy. O - o rózo, tyś jest chora! Niewidzialny robak, który fruwa nocą pośród burzy wycia, wkradł się - wkradł się w siedlisko twej płomiennej rozkoszy... i jego mroczna mroczna miłość, jego mroczna mroczna miłość twoje życie stoczy.

Argustal już uciekał stąd w popłochu.

W ramionach Pamitar nie mógł już teraz znaleźć pociechy. Choć tulił się do niej, zamknięty w klatce z gałęzi, drażył go robak, który fruwa. Odsunął się wreszcie od niej i powiedział:

- Czy ktoś kiedykolwiek słyszał tak straszny głos? Nie mogę rozmawiać z wszechświatem.

- Nie wiesz, czy to był wszechświat - starała się go rozdrażnić. - Czemu

Hszechświat miałby przemawiać do małego Tapmarka'?

- Ten dziad powiedział, że mówię donikąd, a nigdzie to wszechświat -

tam gdzie słońce chowa się w nocy, gdzie kryją się nasze wspomnienia, gdzie

nasze myśli wyparowują. nie mogę z tym rozmawiać. Muszę znaleźć tego dziadygę i z nim pogadać.

- Już nie rozmawiaj , nie zadawaj więcej pytań . Wszystko , czego się dowiesz , przynosi nieszczęście. Słuchaj, wkrótce nie będziesz miał szacunudła mnie , twojej biednej żony. Nie będziesz chciał na mnie patrzeć .

-Choćbym miał patrzeć w nicość przez wszystkie przyszłe wieki i tak muszę się dowiedzieć , co nas dręczy.

W centrum Gornilo , gdzie żyło wielu Niesklasyfikowanych , bezlistny zagajnik dźwigał się z kryjówek jak skamieniały worek , a jego dziwne konary tworzyły groty i kryjówki, an których i w których mogli przycupnąć , bezdomni poza tym, starzy pielgrzymi. Tu właśnie z nadejściem nocy Argustal odszukał nędzarza.

Starzec leżał w bolesnym napięciu obok pękniętego garnka, ciasno otulając ciało w tkane odzienie. Obrócił się w swej komórce, próbując ucieczki, lecz Argustal chwycił go za gardło i przytrzymał mocno.

- Chcę twojej wiedzy, dziadu.

- Idź po nią do pobożnych - wiedzą więcej niż ja.

To wstrzymało Argustala na chwilę, ale swój chwyt rozluźnił jedynie odrobinę.

- Ponieważ złapałem ciebie, ty musisz mi powiedzieć. Wiem, że wiedza to męka , ale męką jest też niewiedza, jeśli tylko ją sobie uświadomimy. Powiedz mi więcej o dzieckach i o tym, co one robiły.

Dziadyga zwijał się w uścisku Argustala jak w gorączce, wreszcie jednak zaczął mówić.

- To co wiem, to mało, tak mało jak źdźbło trawy na całym polu i jak jak źdźbła trawy są te odległe minione czasy. A przez te wszystkie czasy ta sama gromada istot co teraz na Ziemi. Wtedy, jak i teraz, żadnej nowej istoty, ale kiedyś ... jeszcze przed tymi minionymi czasy... ale ty nie możesz pojąć ...

- Rozumiem całkiem dobrze.

- Tyś uczony ! Przed owymi minionymi czasy był inny czas, a wtedy... wtedy były dziecka i inne rzeczy, których już nie ma, wiele zwierząt i ptaków, i mniejszych istot z delikatnymi skrzydełkami, które nie mogły ich unosić zbyt długo...

- I co się stało? Czemu zaszła zmiana, Dziadygo ?

- Ludzie... uczeni... dorozumieli się soków cielesnych i zamienili każdą osobę i zwierzę, i drzewo w wiecznożywe. Trwamy od tego czasu już długo, długo - tak długo, że zapomnieliśmy, co wtedy zrobiono.

- A dlaczego teraz nie ma dzieciek? - spytał go Argustal.

- Dziecka to po prostu mali dorośli. my jesteśmy dorosłymi, którzy powstałi z dziecka. Ale w tych wspaniałych czasach, zanim uczeni pojawili się na Ziemi, dorośli robili dzieckaa. Zwierzęta i drzewa tak samo. Z wiecznym życiem to się jednak nie godzi - w tych dzieckorobnych częściach ciała jest teraz mniej życia niż w kamieniu.

- Ani słowa o kamieniach! Zatem żyjemy na zawsze... Ty stary tłumoku, czy pamiętasz - och, czy pamiętasz mnie jako dziecko ?

Stary tłumok wszakże wprawił się w jakiś trans: łomotał pięściami o ziemię i toczył ślinę z ust.

- Na siedem odcieni bzu, siebie samego gorzej pamiętam jako dziecko, śmigającego jak strzała, i to powietrze, wszędzie świeże, pachnące powietrze. Jestem więc szalony, bo pamiętam.

Zaczął krzyczeć i płaka, a wyrzutki dookoła podjęły jego lament

- Pamiętamy, pamiętamy - czy tak było w istocie, czy też nie.

Ich straszliwe wycie podziałało na jak cios włócznią w bok. W jego pamięci pozostały później obrazy panicznej ucieczki przez miasto, jakiś mur, pień, rów, droga, wszystko to jednak równie bezcielesne jak owe wspomnienia. Kiedy na koniec padł dysząc na ziemię, nie był świadomy, gdzie leży, i wszystko było dla niego niczym do chwili, gdy pobożny skowyt zamął w ciszy.

Dopiero wtedy ujrzał, że leży pośród swej wielkiej konstrukcji, z policzkiem wspartym na kamieniu z Or tam, gdzie go opuścił. A kiedy zaczął wracać do przytomności, wielka konstrukcja odpowiedziała mu, choć nie wyrzekł ani słowa.

Znajdował się w nowym punkcie ogniskowym. Głos, który rozebrzmiał, był nowy, równie spokojny jak poprzedni zająkliwy. Wionął nad nim jak chłodny wiatr.

- Nie masz nieśmiertelnika po tej stronie grobu, o Argustalu, nie ma takiego imienia, choćby i z nie wiem jak głębokim uczuciem namietnej miłości powtarzanego, które by w końcu nie zamikło. Eksperyment X dał wieczne życie wszystkim istotom na Ziemi, nawet wieczność jednak potrzebuje odprężenia i miewa przerwy. Stare życie miało swe dzieciństwo i koniec, nowemu brak było tej logiki. Odnalazło ją po wielutysiącletniach, biorąc wskazówki od poszczególnych umysłów. Czym człowiek był, tym będzie; czym było drzewo, tym się stanie.

Argustal uniósł udręczoną głowę ze swego kamiennego wezgłowia, a głos ponownie zmienił ton i styl, jak gdyby w odpowiedzi na jego znikomy ruch.

- Teraźniejszość jest jak nuta w muzyce, która nie może trwać już dłużej. Natknąłeś się, o Argustalu, na te właśnie, a nie inne pytania, albowiem akord, schodząc w niższą tonację, zbudził cie z długiego snu o płomiennej rozkoszy, jakim był nieśmiertelność. To, coś ty napotkał, odnajdą i inni i ani ty, ani nikt z was nie będzie już dłużej niewrażliwy na zmiany. Nawet nieśmiertelność musi mieć swój kres.

Wstał tedy i cisnął kamień z Or. Kamień poleciał, upadł, potoczył się... i zanim się zatrzymał, zbudził wielki chór głosów wszechświata.

Cała Ziemia powstała i wiatr powiał z zachodu. Gdy znów odzyskał zdolność ruchu, ujrzał pobożne tłumy z miasta w marszu i gnieźdzące się na słońcu wielkie Siły na ich nocnym przelocie, i wirujące gwiazdy, a każdy majestatyczny obiekt tak czujny, jak nigdy dotąd.

Argustal jednak powlókł się z powrotem do Pamitar, człapiąc powoli na swych płaskich, małych stopach. Nigdy już więcej nie miał okazać zniecierpliwienia w jej ramionach, gdzie czas zawsze będzie upływał zbyt szybko.

Wiedział już teraz, co to za robak, który fruwa i który zagnieździł się w jej i jego sercu, w każdej żywej istocie - w drzewoludziach z Or, w potężnych bezosobowych Siłach, które złupiły słońce, a nawet w świętych trzewiach wszechświata, którym chwilowo użyczył głosu. Wiedział już, że powróciła Jej Wysokość, która Życiu nadawała sens, Jej Wysokość, która odeszła ze świata na tak długie, a przecież tak krótkie wytchnienie.

Jej Wysokość **ŚMIERĆ**.

Dzień wyjazdu na Cytherę.

Opustoszałe wzgórza nad jeziorem tworzyły idylliczną scenerię dla rozmów

i świętowania. Mogliśmy stąd widzieć miasto, ale nie pałac; widać było

również rzekę poza miastem, a na wygrzonym zboczu, na którym zasiedliśmy,

rosły kwiaty. Były tu potrzaskane sosny, nieprawdopodobne wąwozy i woń akacji

dokładnie taka, jakiej należało oczekiwać w samym środku czerwca. Zapomniałem

wziąć gitarę, a mój tęgi przyjaciel Portinari uparł się, aby założyć swą błyskotliwą

kurtkę-do-rozmów.

Rozprowiał więc na błyskotliwe, wspaniałe tematy, a ja mu dokuczałem.

- Ze względu na swe mózgowie dziedzictwo ludzkość żyje pomiędzy światem

zwierzęcym a intelektualnym. Ja na przykład jestem matematykiem i uczyłem,

ale zarazem psem i małpa.

-Czy żyjesz w tych konkurencyjnych światach na zmianę czy też w obu jednocześnie ?

Uniósł rękę , spoglądając w dół zbocza , gdzie młodzieńcy walczyli na żółte kije.

- Nie mówię o światach konkurencyjnych. One są komplementarne jeden względem drugiego - matematyk , uczoney , pies i małpa -wszystko w jednym pojemnym mózgu.

-Zaskakujesz mnie - mówiąc to, starałem się wyglądać na nie zaskoczonego. - Dla matematyka psie figlepowinny być raczej nużące , a czyżby i małpa nie buntowała się przeciwko uczonemu?

- Walczą o pierwszeństwo w łóżku - ironicznie zauważył Clayton , o którym sądziliśmy dotąd, że pozostawił konwersację nam samym , ponieważ przykucnął u naszych stóp przy jednym z rozbitych nagrobków , demonstrując nam przy tych badaniach fantastyczne wzory na okrywającym jego plecy atłasie.

- Walczą o nie w nauce - zaproponował Portinari ; nie tyle poprawka , co kodacyl .

-Uzgadniają je w sztuce - powiedziałem:nie tyle kodacyl , co koda.

- A co powiecie na to skamieniałe dzieło sztuki? - zapytał Clayton.

Podniósł się , uśmiechając się do nas spod swej błazeńskiej maski , i wręczył nam okruch nagrobka , który badał.

Widniała na nim z grubsza wyciosana w kamieniu postać ludzka o konturach zatartych przez porosty , których jeden strzęp obdarzył ją z mykotyczną ironiąkępka żółtawych włosów łonowych.Postać w jednej ręce dzierżyła parasol ; druga ręka , wyciągnięta dłonią do góry , była groteskowo powiększona.

-Czy on błaga ? - zapytałem.

- Albo zaprasza? - spytał Portinari.

-Jeśli tak , to co zaprasza?

- Śmierć ?

- Sprawdza czy pada , i stąd parasol _ powiedział Clayton. Roześmieliśmy się.

Pośród niskich wzgórz rozbrzmiewały krzyki.

Nic tu nie przyciągało życia , gdyż trwająca od wielu stuleci susza dawno temu zniszczyła wszelką zieleń . Cisza była ciszą drętwoty , której nawet krzyki nie były w stanie przerwać .Poprzez wzgórza , kierując się ku odległej linii horyzontu , biegł podwójny szlak torów kolejowych. Po torach tych mknęła z krzykiem ogromna lokomotywa parowa , a za nią pojawiły się ścigające ją drapieżniki .

Drapieżców było sześciu , a ich reflektory lśniły oślepiająco. Byli już teraz niemal łeb w łeb ze swoją zwierzyną. Ich klaksony rozbrzmiewały echem , gdy nawoływali się wzajem .Już niezadługo mieli powalić ofiarę.

Lokomotywa była niezmordowana , pomimo jednak swej wspaniałej mocy nie mogła przegonić drapieżców. Nie było też tu dla niej żadnej pomocy - najbliższa stacja znajdowała się wieleset mil stąd .

Przywódca drapieżników zrównał się z jej kabiną. W odruchu rozpaczy lokomotywa nagle rzuciła się w bok , poza krępujące ją szyny , i runęła w koryto wyschniętej rzeki , ciągnące się wzdłuż torów. Drapieżcy zatrzymali się na chwilę , a potem skręcili i znów ruszyli z rykiem w pogoń.Teraz ich przewaga stała się jeszcze większa , albowiem koła lokomotywy ugrzęzły w ziemi .

W ciągu paru minut było po wszystkim . Wielkie bestie rozwłóczyły swój łup . Lokomotwa zaryła się ciężko bokiem , daremnie młóćąc tłokami .

Nie przerażone tym drapieżniki rzucały się na jej czarne wibrujące ciało .

Pośród wzgórz rozbrzmiewały krzyki .

Chociaż król zarządził święto , na rękach wciąż mieliśmy nasze kontrolki. Wywołałem Wszystkowieda i zapytałem o opady na tym terenie czterysta lat temu . Brak danych . Klimat uważano za niezmienny .

- Maszyny są tak piekielnie nieprecyzyjne - uzaliłem się .

- Ależ Bryan , istniejemy dzięki brakowi precyzji . Tylko w ten sposób matematyk Portinariego może współistnieć ze szczeniakiem w jego bogato wyposażonej głowie .Myśmy zbudowali maszyny i dlatego są one napiętnowane naszym brakiem precyzji .

- Maszyny są binarne .Gdzie tu niedokładność w albo-albo , włącz - wyłącz ?

- Albo - albo to z pewnością największa niedokładność .Matematyk - pies , uczyony - małpa ,deszcz - pogoda , życie - śmierć. Brak precyzji nie w rzeczach samych , ale w rozziwii między nimi , w myślniku pomiędzy albo i albo . W tej luce jest nasze dziedzictwo , to dziedzictwo , które maszyny odziedziczyły.

Gdy Clayton mówił te słowa , Portinari omiatał sosnowe igły z drugiej strony grobu , czy też raczej

powiniennem był powiedzieć „, z przeciwnej strony ”, aby podkreślić przynależność mego tęgiego przyjaciela do świata istot śmiertelnych . Ukazał się metalowy pierścień , za który Portinari pociągnął i wydobyl spod ziemi piknikowy koszyk .

Kiedy wznosiliśmy okrzyki zachwytu nad jego zawartością , nadeszła śliczna Kolombina . Pocałowała każdego z nas po kolei i zaproponowała , że nakryje nam do pikniku . Z wierzchu koszyka wydobyla śnieżnobiały obrus i rozścieliwszy go zaczęła rozmieszczać na nim prowiant . Portinari , Clayton i ja staliśmy wokół w malowniczych pozach i przypatrywaliśmy się czteroosobowym lotniom , trzepoczącym nad naszymi głowami w błękicie nieba .

Poza murami miasta srebrna orkiestra grała z okazji urodzin księżniczki . Słabe dźwięki muzyki docierały do nas , unosząc się w rozrzedzonym powietrzu . Można je było niemal smakować jak cieniutkie płatki srebra , w których przygotowuje się kaczkę .

- Dziś jest tak pięknie - jakże szczęśliwi jesteśmy , że to się skończy . Trwałe szczęście polega wyłącznie na przemijaniu .

- Zmieniasz temat , Bryan - rzekł Portinari . - Miałeś być obciążony za brak precyzji .

Chwyciłem się za serce ze zgrozą . - Jeżeli ja miałbym być obciążony za niedokładność , tonie poddanego , lecz króla należy zamienić .

- Strumienie twoich trosk zbiegają ku nurtowi radości - w ułamek chwili później odpowiedział Clayton .

Kolombina zaśmiała się pięknie i dygnęła dając nam znać , że podano do stołu .

*

Sawanny kończyły się tutaj , przechodząc niespodziewanie w krainę kamienia , półpustynną okolicę , gdzie rzadko który z wielkich roślinożerców ośmielił się zapuścić . Nad wszystkim zniżało się to samo ciężkie niebo . Deszcz padał czasami całe lata bez przerwy .

W porównaniu z powolnymi roślinożercami drapieżniki były szybkie . Tam i z powrotem przemierzały swoją straszliwą czarną drogę , która przecinała zarówno sawannę , jak i pustynię .

Jeden z nich zaległ na skraju drogi , powoli pożerając dwunożną istotę i pomrukując silnikiem . Odblask kapryśnego słońca znaczył jego boki .

Kiedy zdjęliśmy maski i zasiedliśmy do uczyty , nadbiegł w podskokach ubrany w aksamit jeden z karłów , zqamieszkujących wzgórz , i przysiadł obok nas na murawie , przygrywając Kolombinie do tańca na elektrycznych cymbałach . Jego pochylona nad strunami twarz przypominała płód ludzki , ale głos miał czysty i dźwięczny . Śpiewał starą piosenkę Caesury :

Słuchałem każdego jej zdania

Wiedząc , wiedząc , że pozostaną one tylko

W mojej pamięci - i wiedząc , wiedząc , że moja pamięć

Będzie je wciąż i wciąż upiększać . . .

Przy wtórze tych dźwięków Kolombina wykonała wdzięczny taniec . nie pozbawiony swoistej autoironii .

Przyglądaliśmy się jej , jedząc mrożone melony z imbirem nadziewane krewetkami , srebrzystego karpia i ciasto z damazkami . Zanim taniec dobiegł końca , z magnoliowego zagajnika przybiegła posłuchać muzyki grupa chłopców z proporcami , ubranych w atłasy , oraz maleńka czarna dziewczynka z bębenkiem . Przywiedli oni ze sobą na łańcuchu małego , zielono - pomarańczowego dinozaura , który tańczył walca na dwóch łapach . Naszym zdaniem całe to towarzystwo należało do dworu .

Był pomiędzy nimi pewien tłusty chłopiec . Zwróciłem na niego uwagę przede wszystkim dlatego , że był ubrany cały na czarno ; dopiero później zauważyłem skórzaste latające stworzenie na jego ramieniu . Nie mógłmieć więcej niż dwanaście lat , ale był potwornigruby i najwidoczniej chełpił się swymi anormalnie wielkimi przydatkami płciowymi , nosił je bowiem przed sobą zawieszzone w żółtym woreczku . Pozdrowił nas , zdejmując czapkę , a potem stanął tyłem do rozigranej gromady , spoglądając na dalekie lasy i wzgórza poza doliną . Tworzył miły kontrast z ogólną zabawą , której przypatrywaliśmy się podczas jedzenia .

Wszyscy płasali do melodii cymbałów karła ze wzgórz .

*

Drapieżniki mknęły po nieskończonych drogach obojętne na to , czy kraj , który mijały , był pustynią , sawanną czy też lasem . Tak wielka była ich szybkość , że zawsze potrafiły znaleźć pożywienie .

Ciężkie, pochmurne niebiosy odzierały świat z barw i czasu . Ociężałe trawożerne zdawały się niemal nieruchome . Tylko drapieżniki były bystre i niezmordowane , produkując swój własny czas .

Ich grupa spotkała się na pewnych skrzyżowaniach wśród pustkowia . Jeden z jej członków dokonał mordu . Była to wielka szara bestia , która z warkotem obnażała kratę chłodnicy . Rozwalona na poboczu , spokojnie pożerała ciało młodej samicy . Dwa inne , świeżo zabite osobniki tego samego gatunku leżały opodal , gotowe do spożycia , gdy przyjdzie jej ochota .

Działo się to na długo przedtem , zanim wewnętrzne pasożyty pokonały labiryntową drogę do mechanizmów wieczności .

- Słuchaj no Bryan - powiedział Portinari otwierając drugą butelkę młodego wina . - clayton przepytował cię z niedokładności . Dwukrotni wykręciłeś się od odpowiedzi , a teraz udajesz , że pochłonęły cię harce tych tancerzy .

Clayton wsparł się na łokciu , wielkopańsko wymachując w powietrzu kością kurczaka w galarecie .

- Ależ portinari , przez zapach kwiecica akacji i posmak tego nowego rocznika ja sam już

zapomniałem , o co chodziło , darujemy więc Bryanowitym razem . Jest wolny .

- Mieć darowane niekoniecznie znaczy być wolnym - powiedziałem - a poza tym sam jestem w stanie wyzwolić się z wszelkich sporów .

- Jestem szczerze przekonany , że potrafiłbyś wymknąć się z klatki słów - rzekł Clayton .

- Czemu nie ? A to dlatego że wszystkie zdania zawierają sprzeczności , tak jak my wszyscy je zawieramy w taki sposób , w jaki Portinari jest matematykiem i psem , małpą i uczonym .

- Wszystkie zdania , Bryan ? - spytał zaczepnie Portinari .

Uśmiechnęliśmy się do siebie, jak zawsze, gdy szykowaliśmy dla siebie nawzajem pułapki słowne. Grupa dzieci z dworu zgromadziła się wokół, by posłuchać naszej rozmowy, wszystkie z wyjątkiem tłustego chłopca ubranego na czarno, który teraz oparł się o pień osiki i spoglądał w błękitne dale. Pozostali, wsparci jeden o drugiego, wymieniali między sobą gesty, niepewni, czy mówimy mądrze, czy też od rzeczy.

Oczywiście Kolombina nie słuchała. Nadeszło więcej karłów w aksamitach, którzy śpiewali, tańczyli czynili wiele zgiełku. Tylko ten z ich plemienia, który przyszedł pierwszy, odłożył cymbały i zaczął pieścić i całować śliczne obnażone ramiona Kolombiny.

Uśmiechając się wciąż, podałem swój kielich Portinariem, a on napełnił go po brzegi. Obaj byliśmy odprężeni, ale czujni, szykując się do próby.

- Jak byś opisał tę czynność, Portinari ?

Wszyscy czekali na jego odpowiedź. Ostrożnie, ale z uśmiechem, powiedział :

- Nie będę niedokładny, drogi Bryanie. Nalałem ci świeżo butelkowanego wina, i to wszystko.

Pod jednym ze zrujnowanych nagrobków skoczyła ropucha. W naszym kregu zapadła taka cisza, że słyszałem jej ruchy.

- Nalałem ci świeżo butelkowanego wina - zacytowałem - Tak jak przewidziałem , mój przyjacielu, zaoferowałeś nam sprzeczność doskonałą. Na początku zdania nalewasz wino, ale na jego końcu jest ono świeżo butelkowane. Sekwencja twojej wypowiedzi jest zupełnie sprzeczna z jej sensem . Twoje poczucie czasu jest tak opaczne, że jednym tchem zaprzeczasz temu, o czym twierdzisz, że zrobiłeś

Clayton wybuchnął śmiechem - nawet Portinari musiał się roześmiać - dzieci trzęsły się i piszczaly, dinozaur dał nurka, a gdy Kolombina klasnęła w rozbawieniu ślicznymi dłońmi, karzeł wyciągnął z jej gorsetu dwie bujne kuliste piersi. Poderwała się ściskając biust rękami i pomknęła wraz z ulubioną sarenką wśród drzew w stronę jeziora, a karzeł rzucił się w pościg.

Deszcz omiatał bujne trawy zasłonami wilgoci. Jego krople nie tyle opadały, co wisiały w powietrzu, przesycając wszystko pomiędzy niebem i ziemią. Była to wielka letnia ulewa, cicha i nieuchwytna ; trwała już od dziesiątków tysięcy lat.

Od czasu do czasu słońce przebijało się przez chmury, a wtedy ruchoma wilgoć w powietrzu wybuchła jaskrawymi kolorami, aby znów przygasnąć i przybrać brudnospizowy odcień, gdy tylko chmury zaleczyły ranę

Metalowe bestie, mknące przez ustawiczny deszcz huczały i warczały. Od zewnątrz błyszczały jak gdyby były nieprzenikliwe, chromy i lakiery lśniły jak lustro, ale pod pancierzami woda, pryskająca stale z wirujących koł, siała spustoszenie. Rdza wśliznęła się w każdą ruchomą część, rak metalu po omacku kierujący się ku sercu.

Zamieszkiwane przez bestie miasta otaczały ogromne cementarzyska. Na nich nie budzące już strachu mnogie kadłuby rozpadały się w rdzawy pył, w niedzne mogiły.

Podczas gdy saczyliśmy wino i zajadaliśmy cukierki, karły i chłopcy tańczyli na murawie. Część młodzieży dosiadła swoich gęsiolotów i popedałowała nad naszymi głowami na powietrzne zapasy. Przez cały ten czas czarno odziany tłusty chłopiec stał samotnie, pogrążony w rozmyśleniach.

Portinari, Clyton i ja śmieliśmy, gawędziliśmy i flirtowaliśmy z przechodzącymi mimo wiejskimi dziewczynami. Było mi bardzo miło gdy Portinari wytłumaczył im mój paradoks niedokładności.

Kiedy dziewczęta odeszły, Clayton wstawszy owinał się płaszczem i zaproponował, abyśmy ruszali z powrotem do promu.

- Słońce kloni się ku zachodowi, przyjaciele, a wzgórza lśnią mosiądzem od jego blasku - uroczyście wskazał ręką na słońce.

- Jestem pewien, że cała jego trajektoria poświęcona jest potwierdzeniu owego aforyzmu Bryana, wedle którego jedynie trwałe szczęście kryje się w rzeczach przemijalnych. To nam przypomina, że rozłożone popołudnie jest tylko sztuczna pozłota, która teraz staje się coraz cieńsza.

- To mi przypomina, że staje się coraz grubszy - Portinari dźwignął się z ziemi, bekając i gładząc się po brzuchu.

Podniosłem rzeźbiony okruch nagrobka i podałem go Clytonowi.

- Tak, chyba zatrzymam tę cień z parasolem, aż znajdę kogoś kto rzuci nań trochę światła

- Czy on cię błaga o to ? - spytałem.

- Albo zaprasza ? - dodał Portinari.

- Sprawdza czy pada - powiedział Clyton. Roześmieliśmy się znowu.

Przesłonięte niemal odrażającymi wyziewami własnej produkcji stado maszyn zaległo na poboczu drogi, żerując.

Droga przypominała twór natury. Ogromny busz pokrywający niemal całą planetę, tu wreszcie się kończył, jak gdyby bez powodu ; równie niewytłumaczalnie wyrastały tu góry, wznoszące się z ziemi

jak góry lodowe, ze skamieniałego morza. Były wciąż jeszcze młode i niespokojne. Droga biegła wzdłuż ich podnóży, rąbek na skraji rozległych równin.

Była to dwudziestopasmowa autostrada, przystosowana zarówno do pod-, jak i naddźwiękowego ruchu. Stado zapadło na jednym z nielicznych parkingów, obżerając się jeżdżącymi w maszynach miękkimi stworzeniami o czerwonych wnętrzach. W stadzie było pięć maszyn, które ustawicznie cofały się i wyły silnikami na wysokich obrotach, przepychając się na lepsze miejsca

Sok tryskał z krat ich chłodnic, ściekał po maskach, osiadał mgłą na szybach. Nad nimi wisiała błękitna chmurka ich skażonych oddechów. Maszyny pożerały swoje młode.

- A więc czas kończyć nasz wywczas !! - rzekł Clyton, biorąc na ramię swój kamień. Tłum wciąż weselił się wzdłuż drzew.

Gdyśmy odchodzili, zdarzało się, że pozostałem z tyłu za moimi przyjaciółmi. Wiedziony odruchem, złapałem za rękaw tłustego chłopca w czerni i powiedziałem :

- Czy pozwolisz, że obcy człowiek zapyta, co też zaprzętało twoje myśli przez całe to wspaniałe popołudnie?

Gdy zwrócił twarz ku mnie i zdjął maskę, ujrzałem jak był blady ; Obfitość ciała niczym nie zaznaczała się na jego twarzy, która przypominała czaszkę.

Patrzył na mnie długo, zanim powiedział powoli :

- Być może prawda jest przypadkiem - i spuścił wzrok ku ziemi.

Te słowa zaskoczyły mnie. Nie potrafiłem znaleźć żadnej repliki, być może dlatego, że jego poważne zachowanie nie licowałoby z ciętą odpowiedzią.

Dopiero kiedy odwróciłem się, aby odejść, dodał :

- Mogło tak być, że ty i twoi przyjaciele całe to popołudnie mówiliście prawdę przez przypadek.

Może w istocie nasze poczucie czasu jest opaczne. Może wino nigdy nie jest nalewane lub też nalewane zawsze. Być może jesteśmy sprzecznościami , każdy sam w sobie. Być może ...być może jesteśmy zbyt niedokładni , aby przetrwać... .

Jakże melancholijna myśl na taki dzień jak dziś !

A oto i prom , unoszący się na ciemnej powierzchni jeziora, osłoniętego cyprysami i przez to nieco ponurego - ale już latarnie zamigotały wzdłuż brzegu i posłyszałem dźwięki muzyki , śpiew i śmiechy z pokładu . Tam w gospodzie nasze ukochane będą na nas czekać i nowa sztuka rozpocznie się o północy . Umiałem swoją rolę na pamięć , znałem każde słowo, marzyłem , aby wyjść z za kulis w blask światła, być celem wszystkich oczu ...

- Chodźże, mój przyjacielu! - zawołał serdecznie Portinari, odwracając się od tłumu i biorąc mnie za

ramię. - Spójrz, na pokładzie są moi kuzyni - będziemy mieli wesołą podróż do domu. Zamierzasz tak trwać?

Przetrwać ?

Przetrwać ?

Przetrwać ?